

NASI NA SŁOWACJI



**SLOVENSKO-POLSKÉ
JARMOČNÉ DNI**
19. december 2004

SPIŠSKÁ BELÁ



Spiska Bela (Spišská Belá) – historyczne miasto na Górnym Spiszu w Słowacji. Usytuowane na ważnym skrzyżowaniu dróg ze Spisza w Tatry, w rejon Magury Spiskiej i Zamagurza, a także w Pieniny. W przeszłości ważny ośrodek rzemieślniczy, obecnie ośrodek kulturalny i turystyczny. W bliskim zasięgu Wysokie Tatry. Liczne ośrodki wypoczynkowe oraz dużo prywatnych kwater. Miasteczko zamieszkuje około 6 tys. mieszkańców. Pierwsze wzmianki o spiskiej miejscowości Spiska Biela pochodzą z początków XIII wieku. Spiska Biela otrzymała prawa miejskie w 1271 r., wtedy weszła w skład Prowincji XVI Miasta Spiskich. Zabytki: kościół katolicki św. Antoniego z 1263 r., kościół ewangelicki, pierwotnie barokowy z 1784 r., obecnie klasycystyczny; zespół renesansowych kasztel z XVI w., obecnie mieści się tu Słowacka Galeria Narodowa.



OŻARÓW



Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

Nr 2/70 luty 2005 Rok VII ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.

© PAIR MYJAKPRESS



Ożarowskie Złote Gody

68 par małżeńskich z gminy Ożarów otrzymało medale „Za Długoletnie Pożycie Małżeńskie”. Uroczystość 4 lutego zorganizował Urząd Miejski w Ożarowie. Odbyła się ona w sali widowiskowej Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury. Wzięli w niej udział jubileaci oraz władze samorządowe gminy Ożarów, a także wicestarosta Marek Staniak.

Medale małżeńskie - za co najmniej pół-wieczny staż - parom przypinał burmistrz Marcin Majcher w towarzystwie przewodniczącego Rady Miejskiej Mirosława Adamka. Obaj panowie na

tę uroczystą ceremonię pierwszy raz włożyli na ramiona ozdobne łańcuchy, insygnia władzy samorządowej. Cztery pary, które w małżeńskim związku przeżyły 55 lat, obchodziły Szmaragdowe Gody.

Po części oficjalnej odbył się koncert dedykowany uhonorowanym parom. Przygotował go M-GOK, a wystąpili członkowie zespołu „Ożarowiaci”, dorośli i młodzież szkolna.

Przed uroczystością jubileaci uczestniczyli w mszy odprawionej w miejscowym kościele.

ZDARZYŁO SIĘ W GMINIE - LUTY 2005



W ożarowskiej remizie OSP odbył się Ogólnopolski Turniej Wiedzy Pożarniczej



W Ośrodku Konferencyjnym „Zajazd Sandomierski” w Lenarczycach, gm. Obrazów 350 producentów wina z regionu próbowało się skonsolidować przeciwko monopolowi zakładów przetwórczych



W galerii MGOK w Ożarowie czynna jest do końca marca wystawa Elżbiety Pióreckiej pt. „Romantyczny park”



W lutym na Ożarowszczyźnie zapanowała prawdziwa zima

KRONIKA OŻAROWSKA

Na zakończenie tegorocznego karnawału w remizie OSP w Sobótce Społeczna Świetlica Przedszkolna zorganizowała ostateczny bal przebierańców. Wzięli w nim udział uczestnicy zajęć świetlicowych, którzy potrafili wymyślić fantazyjne stroje. Dzieci świetnie się bawiły. Mogły skorzystać z poczęstunku przygotowanego przez rodziców.

Mieszkańcy Sobótki narzekają na ciek wodny, które zabagniają płytką dolinę, przecinając wieś na dwie części. Brak należytej konserwacji spowodował w ostatnich latach zamulenie systemu odwadniającego na terenie wsi. W środku wsi powstało kilkuhektarowe bagno, w którym żerują lisy, piżmaki i inne drobne zwierzęta. Woda bez ruchu powoduje również niezbyt przyjemne wyziewy. Koniecznym jest więc udrożnienie ciek wodny. Tym pilniejsze jest to zadanie, że Sobótka leży na lessach, a te są łatwo podatne na erozję.

Radna Krystyna Wieczorek, wsłuchując się w głosy krytyki mieszkańców, postanowiła doprowadzić do udrożnienia sobótkowskiego strumienia. Chce zachęcić właścicieli zagrod położonych nad ciekem do prac ziemnych, obiecując im również pomoc w ramach robót publicznych ze środków Powiatowego Urzędu Pracy Opatowie.

W Sobótce z inicjatywy koła PSL w Sobótce i radnej Krystyny Wieczorek powstała Społeczna Świetlica Przedszkolna. Została zlokalizowana w remizie OSP. Bezpośrednio zajęcia z małymi dziećmi w wieku od 3 do 5 lat prowadzi przedszkolanka, a pomagają im rodzice. Pełnią oni, zazwyczaj mamy, codzienne dyżury. Zajęcia odbywają się od 9.00 do 13.00. Uczęszczają na nie dzieci z Sobótki i Grochocic. Obecnie zapisanych jest na zajęcia około 20 dzieci.

Po kilku miesiącach istnienia świetlica udowodniła, że jest potrzebna. Dzieci w grupie wcześniej uczyły się plastyki, muzyki, tańca. Uczestniczą w organizacji przedstawień.

Znowu wraca temat poboczy i chodników przy drodze krajowej Sandomierz – Ożarów w Sobótce. Jest to wyjątkowo niebezpieczny odcinek drogi, który w ciągu ostatnich 20 lat pochłonął wiele istnień ludzkich. Do tego należy dodać kilkadziesiąt rannych w wypadkach.

Prace drogowe, przeprowadzone w 2003 r. przez dyrekcję dróg, jeszcze pogorszyły stan poboczy. Po zebraniu ziemi z brzegów drogi pobocza zniknęły. W niektórych miejscach nawierzchnia asfaltu łączy się bezpośrednio z rowem, co tworzy duże zagrożenie ruchu pieszego.

Trwają prace nad upamiętnieniem 90. rocznicy kampanii wojennej na ziemi opatowskiej. Działaniami przewodzi radny Wiesław Chmielewski z Jakubowic.

JÓZEF MYJAK



W KRAINIE LESSU I BIAŁYCH SKAŁ



We współpracy z naszym miesięcznikiem ukaże się wkrótce pierwsza monografia krajoznawcza gminy Ożarów

Koleżance Wandzie Barszcz wyrazi współczucia z powodu śmierci Matki, Bogumili Marianny Bochniak, składają koleżanki i koledzy z zespołu „Ożarowiaczy” oraz opiekun zespołu Teresa Opalka.

ZMARLI:



22.01 - Lucjan Celiński w wieku 73 lat z Lasocina

28.01 - Stanisław Czarnecki w wieku 93 lat z Lasocina

01.02 - Anna Skowierzak z d. Ślabek w wieku 91 lat, była mieszkanka Lasocina

08.02 - Bogumiła Marianna Bochniak w wieku 84 lat z Wólki Chrapanowskiej

12.02 - Julian Wisowski w wieku 91 lat z Julianowa

21.02 - Jan Żabicki w wieku 72 lat z parafii Ożarów

22.02 - Szczepan Rutkowski w wieku 74 lat z parafii Ożarów

27.02 - Jadwiga Foksowicz w wieku 54 lat z parafii Ożarów

BLISKIM ZMARŁYM SKŁADAMY WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

Złote Gody

PÓŁ WIEKU W MAŁŻEŃSTWIE

Ostatnio duża grupa sędziwych par małżeńskich z gminy Ożarów otrzymała medale za długoletnie pożycie.

A oto wykaz uhonorowanych par:

1. Wacława i Henryk Adamscy z Ożarowa
2. Teresa i Mieczysław Bieńkowie z Lasocina
3. Genowefa i Jerzy Biernaczy z Tomini
4. Teresa i Zbigniew Blinowscy z Ożarowa
5. Genowefa i Stanisław Bobrowscy z Wyszmontowa
6. Zdzisława i Józef Celińscy z Lasocina
7. Marianna i Lucjan Celińscy z Lasocina
8. Marianna i Stanisław Chmielewscy z Grochocic
9. Anastazja i Roman Chmielewscy z Jakubowic
10. Wanda i Edward Cieszkowscy z Ożarowa
11. Joanna i Jan Czajkowsky z Jakubowic
12. Czesława i Józef Domaradzcy z Szymanówki
13. Wanda i Józef Czerwcowie z Jakubowic
14. Henryka i Stanisław Gawlakowie z Wlonic
15. Irena i Julian Gierczakowie z Jakubowic
16. Janina i Henryk Grudnikowie z Ożarowa
17. Teodora i Kazimierz Grzebykowie z Nowego
18. Joanna i Jan Grzesiakowie z Przybysławic
19. Weronika i Mieczysław Guzikowie z Przybysławic
20. Marianna i Emeryk Janiccy z Ożarowa
21. Czesława i Henryk Kalitowie z Sobótki
22. Genowefa i Leon Kapturowie z Suchodółki
23. Janina i Tadeusz Kijkowie z Zawady
24. Helena i Edward Klimkiewiczowie z Ożarowa
25. Celina i Władysław Konwowie z Ożarowa
26. Marianna i Leon Kopicowie z Janowic
27. Regina i Adam Krawczykowie z Nowego
28. Celina i Józef Krawczykowie z Nowego
29. Zofia i Henryk Królowie z Nowego
30. Irena i Józef Larkowscy z Ożarowa
31. Stanisław i Kazimiera Łukasiewiczowie z Jakubowic
32. Zofia i Tadeusz Maciakowie z Prus
33. Marianna i Jan Mazurowie z Karsów
34. Władysława i Stefan Mazurowie z Ożarowa
35. Czesława i Jan Mikołajkowie z Nowego
36. Janina i Jan Misztalowie z Wyszmontowa
37. Stanisława i Henryk Nadbrzuchowie z Przybysławic
38. Władysława i Czesław Nowocieniowie z Sobótki
39. Czesława i Seweryn Olszańscy z Sobowa
40. Helena i Stanisław Pacoszyńscy z Karsów

41. Helena i Władysław Pastuszkowie z Nowego
42. Bogumiła i Tadeusz Ponikowscy z Potoka
43. Alfreda i Jan Ptakowie z Maruszowa
44. Zofia i Jan Ramusowie z Maruszowa
45. Krystyna i Aleksy Religowie z Szymanówki
46. Cecylia i Stefan Romańscy z Janowic
47. Janina i Józef Roźmiejowie z Jakubowic
48. Otolia i Stanisław Rutkowski ze Śródborza
49. Irena i Michał Rzepkowie z Grochocic
50. Krystyna i Henryk Sadowscy z Sobowa
51. Teodora i Adam Seweryńscy z Przybysławic
52. Marianna i Augustyn Sikorsecy z Wyszmontowa
53. Sabina i Tadeusz Słomowie z Janopola
54. Janina i Florian Sobczykowie ze Śmiłowa
55. Zofia i Marian Sobczykowie z Dębna
56. Zofia i Stanisław Stadnikowie z Janowic
57. Pelagia i Mieczysław Śuwarowie z Prus
58. Wacława i Bogusław Stawiarscy z Prus
59. Władysława i Jan Stawiarscy z Binkowic
60. Zofia i Bronisław Tacikowie z Przybysławic
61. Krystyna i Henryk Walasowie z Czachowa
62. Alfreda i Wacław Trojanowscy z Przybysławic
63. Janina i Józef Walczykowie z Szymanówki
64. Stefania i Roman Wąsikowie z Nowego
65. Krystyna i Marian Wójcikowie z Niemcówki
66. Teodora i Adam Wójcikowie z Grochocic
67. Aurelia i Tadeusz Wójcikowie z Janowic
68. Helena i Jan Wronowie z Suchodółki



NADAL UJEMNY PRZYROST

Malejąca z każdym dniem liczba mieszkańców miasta i gminy już nikogo nie dziwi. Tak jest w powiecie opatowskim, tak jest w województwie świętokrzyskim i w ogóle w Polsce. Potwierdzają to chłodne statystyki.

Na początku tego roku w mieście Ożarowie mieszkało na stałe 5155 osób i 65 zameldowanych na pobyt czasowy. Na koniec 1998 r. w Ożarowie było zarejestrowanych 5400 osób. W cztery lata później o 10 mniej. Nie jest to spadek alarmistyczny, ale tendencja powinna być odwrotna - powolny wzrost. To świadczy o dynamice każdej miejscowości.

Zapewne i te liczby nie są do końca obiektywne. Wiemy o tym, że jest grupa ludzi formalnie zarejestrowanych w Ożarowie, ale wyjechała na krócej lub dłużej poza jego granice w ważnych celach. Na przykład w poszukiwaniu sezonowej pracy. Faktycznie więc ich nie ma na terenie miasta. Należy przypuszczać, że część z nich znajduje dla siebie lepsze miejsce i nie wróci już na stałe do rodzinnej miejscowości. Podobnie sytuacja wygląda na terenie wsi gminy Ożarów.

J.M.

Złote Gody

PÓŁ WIEKU I WIĘCEJ RAZEM

W Ożarowie odbyła się ostatnio oficjalna uroczystość wręczenia medali „Za Długoletnie Pożycie Małżeńskie”. Takie same medale wręczono 68 parom. Jednak każdej z nich los inaczej snuł nić żywota. Prześledziłem dwa przypadki:

Teodora i Adam Seweryńscy z Przybysławic

Adam: Pochodzimy oboje z innych wiosek. Przybysławice były później. W młodości mieszkaliśmy tam, gdzie teraz stoi piec cementowniany. W Glinianach Kępie i Kazubie (część Kolonii Potok). W młodości jako kawaler ganiałem za różnymi dziewczynami. Na zabawy chodziło się do Brzozowej i Glinian. Aż tu pewnego razu wpadła mi w oko Teodora. Pomyślałem wtedy: niezła z niej dziewczyna. Szczególnie dobrze szło jej w tańcu. Dośzedłem wtedy do przekonania, że czas skończyć z uganianiem się po terenie, należy się ustatkować. Skupiłem się więc na tej jednej paniencie. Zaczęliśmy wspólne chodzenie na spacer, randki. Ulubionym naszym miejscem spotkań był gaj, las, który rozciągał się za zabudowaniami. Po jakimś czasie daliśmy na zapowiedzi i wkrótce odbył się nasz ślub w kościele w Glinianach. Całonocne wesele urządziliśmy w domu panny młodej. Grali muzycanci z Ożarowa. Popularna wtedy kapela Ziemiaków. Po ślubie zamieszkaliśmy u mnie. Wydawało się, że tu spędzimy całe życie. Zajmowaliśmy się - jak to na wsi - rolnictwem. Poza tym dorabiałem sobie w kamieniołomie, który miałem na swoim polu w Kazubie. Łupałem ze skały kęsy kamienia, który sprzedawałem na budowę domów i chlewni. Jednak zysk z tego był niewielki, więc zaprzestałem eksploatacji i przyjąłem się do roboty w państwowym kamieniołomie w Karsach. Pracowałem tam w transporcie, wywoziłem mączkę bitumiczną. W Karsach lepiej płacili.

Teodora: Ja tymczasem zajmowałam się gospodarstwem domowym, wychowywaniem trójki dzieci i gospodarstwem rolnym.



Adam: Wydawało się, że nic w naszym życiu się nie zmieni. Aż tu w 1975r. dostaliśmy nakaz wyprowadzki. Musieliśmy opuścić rodzinną zagrodę. Na nasze pole weszła wielka budowa. Gospodarstwo znajdowało się tam, gdzie dzisiejsza brama cementowni. Odszkodowanie za utracenie 8 hektarów ziemi i zabudowania wystarczyło na kupno 3-hektarowego gospodarstwa w Przybysławicach. Minęło 30 lat naszego pobytu w Przybysławicach, a ja wciąż pamiętam tamten dom, pola. Ale coż było robić. Już przyzwyczailiśmy się do nowego miejsca. Jestem zadowolony z rodziny. Trójka dzieci nam się udała. Są już na swoim. Najmłodszy syn wybudował się obok nas i mieszka tam ze swoją rodziną. Pozostała dwójka również z rodzinami mieszka niedaleko, bo w Ożarowie. Straciliśmy co prawda pierwsze domostwo, ale dzięki cementowni dzieci mają pracę. Zięć pracuje w cementowni, czyli tam, gdzie stał pierwszy dom. Najmłodszy zatrudniony jest w zakładzie pracującym na rzecz cementowni.

ON I ONA – DIALOG PO LATACH

Inaczej ułożyły się losy Marianny i Emeryka Janickich z Ożarowa, małżeństwa również z półwiecznym stażem.

Emeryk: Pochodzę z Wólki Lipowej, wioski położonej w sąsiedniej gminie Tarłów. We wczesnej młodości zacząłem terminować w zakładzie krawieckim w Ożarowie. Codziennie przez cztery powojenne lata jeździłem rowerem 9 kilometrów z rodzinnej Wólki do Ożarowa, na ulicę Kolejową, gdzie uczyłem się kroju i szycia. Pewnego dnia zobaczyłem, że ulicą Kolejową wędruje niezła dziewczyna. Popatrzyłem na nią i stwierdziłem, że podoba mi się ta ładna i zgrabna panienska.

Marianna: (wtedy Adamska) Ja go wtedy jeszcze nie widziałam. Chodziłam do szkoły rolniczej w Wyszmontowie. Musiałam więc przechodzić pod oknami warsztatu, gdzie praktykował mój przyszły oblubieniec.

Emeryk: Postanowiłem poderwać panienkę, która wpadła mi w oko, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Na szczęście znałem jej koleżankę, Gienię Klimkiewicz, i to właśnie ona zaaranżowała pierwsze nasze spotkanie. Właściwie to dzięki niej pobraliśmy się i dlatego jesteśmy jej do dziś bardzo wdzięczni.

Marianna: Spodobał mi się ten Emeryk, choć miał trochę dziwne imię. Zgrabny, z ładnymi włosami, przystojny był z niego kawaler. A na dodatek miał rower. To tak jak gdyby dziś

kawaler miał samochód. Zaczęliśmy więc ze sobą - jak to młodzi-chodzić.

Emeryk: Po czterech latach skończyłem terminować krawiectwo w Ożarowie i postanowiłem ruszyć w świat, żeby poznać ten fach z innej strony, w innych zakładach. Wyjechałem więc do krewnego, który mieszkał w Jabłonowie koło Brodnicy. Tam zdałem egzamin rzemieślniczy. Stamtąd pojechałem do Wrocławia, gdzie podjąłem pracę w swoim zawodzie. Wciąż jednak myślałem o Mariannie, która z płochy nastolatki, jakiej wcześniej, gdy opuszczałem Ożarów, małżeństwo nie było w głowie, stała się młodą, dorodną kobietą. Ja wtedy byłem już statecznym 21-letnim kawalerem. We Wrocławiu długo nie wytrzymałem. Towarzystwo, w którym przebywałem, przestało mi odpowiadać, więc spakowałem manatki i wróciłem do Ożarowa. Chyba Marianna mnie tak tu przyciągnęła. Kolega po fachu namówił mnie, żebyśmy założyli własny warsztat krawiecki. Tak się zaczęło moje samodzielne życie zawodowe, mistrza nożyczek i igły, a raczej maszyny do szycia. Byłem więc już materialnie ustabilizowany, zacząłem zarabiać nie tylko na bulkę czy chleb z masłem, ale z dobrą kielbasą ożarowską. Znowu swoje oczy zwróciłem na Mariannę, która tym razem zgodziła się na małżeństwo.

Złote Gody

Marianna: Ślub odbył się w ożarowskim kościele w 1951r. Udzielił nam go ówczesny proboszcz – ksiądz Jan Zych. Wesele zaś urządzili rodzice w swoim domu rodzinnym. Grała nam i naszym gościom kapela Dąbrowskich z Janikowa. Po tych uroczystościach zamieszkaliśmy w domu moich rodziców, Franciszka i Katarzyny Adamskich, przy ulicy Zielnej 1. Rozpoczęliśmy więc małżeński żywot.

Emeryk: Prowadziłem warsztat krawiecki. Uprawiałem tzw. krawiectwo ciężkie, damskie i męskie. Szylem garnitury, futra i jesionki. Pracowałem solidnie od siódmej rano do dziesiątej wieczorem. Były takie dni, że musiałem siedzieć po nocach. Często do późna świeciło się światło w moim warsztacie. Jedynie na ulicy. Mimo długich godzin pracy, zarabiałem średnio. Wystarczyło na wygodne życie, ale kokosów nie było. Musiałem płacić spore podatki. Nie mogłem rozwinąć firmy, gdyż progresja podatkowa była wtedy niekorzystna dla prywatnej inicjatywy. Marzyłem o firmie krawieckiej z prawdziwego zdarzenia. Z pracownikami, kilkoma maszynami do szycia, salonem odzieżowym, w którym klienci mogliby wybierać garnitury i płaszcze. Niestety, moje zawodowe życie przypadło na inny ustrój.

W sumie przy maszynie spędziłem 50 lat, dzień w dzień, z przerwami na niedziele i święta. Trudno mi zliczyć, ile to godzin, bo przecież nie osiem dziennie, ale znacznie więcej. Z szycia dorobiliśmy się własnego, nowego domu, samochodu i dwóch nowych rowerów. Uprawiamy też ziemię, bo mamy ją po rodzicach. Jesteśmy więc po części rolnikami.

Mimo wejścia w wiek emerytalny, mógłbym nadal zajmować się krawiectwem, ale Ożarów to nie Warszawa. Tu panowie nie zamawiają garniturów na obstalunek. A przecież gdzie indziej ludzie z elity nie kupują garniturów w sklepie, tylko szyją sobie na miarę. W Ożarowie krawiectwo definitywnie skończyło się dziesięć lat temu.

Marianna: Z półwiecznego oddalenia patrzę na nasze małżeństwo z sympatią. Mogę powiedzieć, że nasz związek był i jest udany. Miniony czas przeżyliśmy szczęśliwie. Nie żałuję, że wyszłam za Emeryka. Zawsze się rozumieliśmy. Wspominam dobre chwile, a te gorsze pozostawiam w mroczkach pamięci.

Emeryk: Przyłączam się do tej opinii. Dobrze wybrałem i nadal jestem zadowolony z mojej Marianny

Spisał Józef Myjak



DWA DOMY

Świat śniegiem zasypany, calusienki dokoła,
W małym domku przy drodze okienko przyjaźnie wola.
Choć mruga bardzo przyjaźnie, a może nawet prosząco,
Mijają go obojętnie, choć tak zaprasza gorąco.
Podobny domek stoi nieopodal pod laskiem
I mruga oczkiem tamtemu jak gwiazdka złotym blaskiem.
Dwa domki całkiem jednakie, prawie jak bracia klony,
Starszy przycupnął pod laskiem, młodszy na biało bielony.
Starszemu drzewa w noc każdą śpiewają kołysankę,
Kiedy noc na świat opuści czarną, gwiazdzistą firankę.
Młodsze do snu kołysze lipa rosnąca przy oknie,
W strugach jesiennej szarugi drży z zimna biedna i moknie.
Wiosną niby w nagrodę ptaki tu gniazdo uwiły,
Że nikt ich nie wypatrzył, ogromnie się dziwiły.
Wnet pszczoły się dowiedziały i w świat poniosły nowinę,
Miód pracowicie zebrały, lecz obgadały ptaszynę.
Że ciągle głodna, że piszczy, a wreszcie bardzo brudzi,
Lecz nie wiedziały plotkary, że ptaki mir miały u ludzi.
Pod lipą lubiła siadać kobieta z tego domu.
O czym myślała? Tego na pewno nie powie nigdy nikomu.
Po głowie snuły się myśli, przeważnie niewesołe,
Boć życie przez długie lata krzywym toczyło się kołem.
Aż wreszcie krzywe koło rozpadło się, bo musiało.
Z małych i dużych radości niewiele pozostało.
Zostały tylko wspomnienia i łzy, co czasem zapieką,
Kiedy obrazy z przeszłości pojawiają się pod powieką.
I tak dwa domki figlarne ku sobie ciągle mrugają
Jak kochankowie. Boć przecie ogromnie się kochają.
Świat śniegiem zasypany calusienki dokoła,
W białym domku przy drodze okienko przyjaźnie wola.
Chodź! Podejź bliżej! Sekret ci mały szepnę do ucha.
Tamten odrzeknie: mów proszę! Nie wiesz? Przecież cię słucham.
I nigdy im nie dosyć, wciąż ze sobą gadają,
Chociaż śnieg wściekle tańczy, tak sobie wspominają.
Pamiętasz? Mówi ten starszy. Ja dwa wesela tu miałem.
Nie wiem. Nie jestem pewien, czy szczęście w posagu im dałem.
Zaś młodszy dach ciężki w pokorze kloni nisko
Przed Matką, która z miłością chylila się nad kołyską,
I tak dwa domki jednakie, prawie jak bracia klony,
Gadają sobie przyjaźnie, choć już świat cały uśpiony.

Zofia Sobótka

Grupa inicjatywna przy
Spółdzielni Producentów Owoców i Warzyw
„Nadwiślanka” ogłasza konkurs
na menedżera (kierownik, prezes).
Tel. kontakt. 8611-592 lub 697343779

Kandydatów
zapraszamy na rozmowy wstępne.

W PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI GENERAŁA FRANCISZKA KAMIŃSKIEGO

Grupa działaczy ludowych z gminy Ożarów wzięła udział w uroczystości poświęconej piątej rocznicy śmierci generała Franciszka Kamińskiego. Organizatorami spotkania, które odbyło się 26 lutego w Szkole Podstawowej w Wojciechowicach, byli Zarząd Gminny Polskiego Stronnictwa Ludowego w Wojciechowicach, Zarząd Powiatowy PSL w Opatowie, Społeczność Publicznej Szkoły Podstawowej w Wojciechowicach i Społeczny Komitet Pamięci Generała Franciszka Kamińskiego.



Uroczystości rozpoczęły się od mszy świętej odprawionej w miejscowym kościele parafialnym w intencji generała F. Kamińskiego, zamordowanych, poległych i zmarłych żołnierzy Batalionów Chłopskich i ludowców. Następnie uczestnicy wojciechowickiego spotkania przenieśli się do starej szkoły, gdzie widowisko słowno-muzyczne, traktujące o generale, naszej przeszłości, wojnie, patriotyzmie, przedstawili uczniowie. Sylwetkę generała Franciszka Kamińskiego, który urodził się w Mikułowicach, zaprezentował dr Grzegorz Osiał z Muzeum Ruchu Ludowego w Warsza-



Mikułowice - zachował się tu dom, w którym urodził się gen. Kamiński

wie. Wystąpiła też córka generała, która przedstawiła uczestnikom wojciechowickiego spotkania swoisty testament moralno-patriotyczny Franciszka Kamińskiego.

Na koniec refleksja. Trzeba obiektywnie przyznać, że jedyna partia polityczna, jaką „widać” na wsi, czyli w ogóle w powiecie opatowskim, który jest wiejskim powiatem, to Polskie Stronnictwo Ludowe. Mocno sięga ta partia do chłopskich korzeni oraz do ludowej tradycji. Wielu ludzi, i to autentycznie, potrafi się skupić wokół autorytetów, niestety przede wszystkim nieżyjących. Przykładem tego jest właśnie postać generała Kamińskiego, którego kult będzie zapewne z każdym rokiem rósł.

Uroczystość wojciechowicka zgromadziła sporą grupę ludzi. Świetlica szkolna nie była w stanie wszystkich gości pomieścić. Jednak te wszystkie zabiegi nie przekładają się na wyniki PSL w rankingu popularności na centralnej scenie politycznej, na której ta partia, wciąż mocno zakotwiczona na polskiej wsi, osiąga słabe rezultaty wyborcze.

J.M.

OŻAROWSKIE EPITAFIA



Dnia 28.01.2005r. odszedł od nas na wieczną wartę Stanisław Czarnecki, urodzony 15.11.1911 r. w Lasocinie, uczestnik bitwy pod Monte Cassino.

W wieku 28 lat został powołany do wojska. Służył w 4. Pułku Sapierów w Przemyślu. Kiedy w 1939 r. wybuchła II wojna światowa, został ponownie powołany do tego samego 4. Pułku, a następnie przydzielony został do 10. Brygady Kawalerii. W służbie o wolność i niepodległość ojczyzny wraz ze swymi współtowarzyszami bronił pokonał ogromny szlak bojowy poprzez Rumunię, Węgry, Jugosławię, Grecję, Bejrut, Egipt, Tobruk, Palestynę i Irak, gdzie razem z oddziałem wstąpił do 2. Korpusu Polskiego, utworzonego przez gen. Andersa. Korpus ten w całości przetransportowano do Włoch. W bitwie o wzgórze Monte Cassino Stanisław Czarnecki został ciężko ranny i przewieziono go z innymi rannymi do Anglii. Służbę wojskową ukończył w stopniu plutonowego. Do rodzinnego Lasocina wrócił 17 maja 1947 r. Za udział w tej bitwie został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Zasługi, Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Krzyżem za udział w wojnie obronnej w 1939 r. oraz angielskim i włoskim odznaczeniem.

Pomimo inwalidztwa II grupy był osobą bardzo pracowitą oraz niezwykle skromną, nie lubiącą rozgłosu o zasługach. Do końca swoich dni cieszył się niebywałą pamięcią i sprawnością umysłową. Bardzo dzielnie znosił cierpienia wynikające z wszelkich schorzeń. W pamięci swoich najbliższych pozostał jako bardzo dobry mąż i ojciec. Przeżył 93 lata.

G.J.

WIŚNIOWE KŁOPOTY GRUPOWO W NISKIE CENY

- rozmowa z Tadeuszem Muchackim, producentem wiśni z Janowa, współinicjatorem powstania Spółdzielni Producentów Owoców i Warzyw „Nadwiślanka” w Ożarowie

Józef Myjak: Co pana skłoniło do tej inicjatywy?

Tadeusz Muchacki: Do tego kroku zmusiła mnie oraz innych producentów wiśni i innych owoców, i warzyw ubiegłoroczna sytuacja skupowa. Niskie ceny i ogólny bałagan w tej branży. Dlatego też razem z kolegą, Henrykiem Kuchnickim, postanowiliśmy połączyć siły lokalnych producentów i zrzeszyć się w grupę producencką. W wyniku odbytych siedmiu zebrań doszliśmy do wniosku, że najlepszą formą działania będzie spółdzielnia. W tym miejscu chcę podziękować doktorowi Januszowi Suszynie z sandomierskiego oddziału Świętokrzyskiej Izby Rolniczej za prawdziwie merytoryczną pomoc w przygotowaniu podstawowych dokumentów, m.in. statutu, regulaminu, i za fachowe pilotowanie całej sprawy. Dziękuję także prezesowi ŚIR, Ryszardowi Ciźli, za rzeczową pomoc oraz znanemu w regionie działaczowi Bogusławowi Włodarczykowi.

J.M.: A czy lokalna władza samorządowa zainteresowała się waszą inicjatywą?

T.M.: Tak, burmistrz Marcin Majcher mocno się zainteresował tym przedsięwzięciem i zadeklarował nam konkretną pomoc, zwalniając naszą spółdzielnię z podatku od nieruchomości. Jego zaangażowanie sięga dużo dalej i członkowie spółdzielni cieszą się, że w osobie burmistrza znaleźli przyjaciela.

J.M.: Wynika z powyższego, że już spółdzielnia producencka ruszyła...

T.M.: Tak dobrze to jeszcze nie jest. Przed nami ogrom spraw organizacyjnych i sporo załatwień formalnych. W tym miejscu muszę zaznaczyć, iż nie spodziewałem się, że to wszystko da się załatwić. Ale być może dlatego, że spotykamy na swej drodze życzliwych nam ludzi. Tak jak na przykład Jana Krakowiaka, prezesa GS w Ożarowie, który wydzierżawił nam dużą halę, jak również pomieszczenia na biuro, a także 40-tonową wagę samochodową i nową wagę skupową. Dzięki tym urządzeniom będziemy mogli w tym sezonie prowadzić własny, duży skup wiśni.

J.M.: A jakie jest zainteresowanie tą formą zrzeszania się rolników, lokalnych producentów, przede wszystkim wiśni?

T.M.: Rzeczywistość przerosła nasze oczekiwania. Liczyliśmy, że do nas przystąpi 30-40 osób. Tymczasem na zebraniu założycielskim chęć przystąpienia, popartej wpłatą wpisowego w wysokości 500 zł, zgłosiło w pierwszym tylko dniu zapisów 64 osoby. Na tym nie koniec. Wciąż są chętni.

J.M.: Rozumiem, że lista członków nie jest jeszcze zamknięta...

T.M.: Tak. Do momentu zarejestrowania będziemy przyjmować chętnych na tych samych zasadach, czyli 500 zł wpisowe i 500 zł za jeden udział, który każdy członek musi wykupić. Dodam, że jeden członek spółdzielni może nabyć 20% wartości majątku spółdzielni w formie udziałów. Natomiast po rejestracji – jeżeli byłoby chętni do przystąpienia do „Nadwiślanki” – wpłata udziału będzie wyższa.

J.M.: Z jakich miejscowości rekrutują się członkowie spółdzielni?

T.M.: Dominują trzy gminy: Ożarów, Tarłów i Zwoleń, ale są też chętni z gmin: Ostrowiec Św., Wojciechowice, Zawichost, a także z Lipska, czyli z terenów, gdzie panuje w strukturze upraw ogrodniczych wiśnia słupecka (zwana też jak nasza spółdzielnia „Nadwiślanką”). Oczywiście nie będziemy zaniedbywać innych owoców miękkich.

J.M.: Jaki jest podstawowy cel działania waszej spółdzielni?

T.M.: Podstawowymi naszymi celami są: przeciwdziałanie mocno politycznym praktykom zakładów przetwórczych, a także punktów skupu, które stawiają dostawców owoców i warzyw pod ścianą. Konkretnie mówiąc, chcemy na początek, tj. w tym sezonie, zorganizować własne skupy w terenie i wprowadzić sprawny system informacyjny o cenie towaru, np. zawsze rano będziemy starać się podać aktualną cenę wiśni, aby producent mógł zdecydować, czy tego dnia wychodzić do sadu rwać owoce, żeby je wieczorem sprzedać. Jeżeli uzna, że cena w tym dniu mu nie odpowiada, to nie obrywa i wiśnie mogą spokojnie kilka dni poczekać i nic się z tego z nimi nie dzieje. Natomiast zerwane muszą być sprzedane w tym dniu, a o tym wiedział pośrednik i często wykorzystywał sytuację na swoją stronę. My ze swojej strony będziemy się starać negocjować korzystne ceny z odbiorcami, czyli bezpośrednio z zakładami przetwórczymi, i utrzymywać je przez cały dzień.

J.M.: Dziękuję za rozmowę.

J. Myjak



WIŚNIOWE KŁOPOTY MOŻE SIĘ ZJEDNOCZAĆ

Kilkudziesięciu producentów wiśni z gminy Ożarów wzięło udział w spotkaniu inicjatorów powołania grupy producentów owoców i warzyw dla przetwórstwa, które odbyło się w niedzielę 27 lutego w Ośrodku Konferencyjnym – „Zajazd Sandomierski” w Lenarczycach w gminie Obrazów.

Było to duże i autentyczne zgromadzenie producentów zdesperowanych ubiegłorocznymi cenami wiśni. W gminie Ożarów uprawy wiśni stanowią w strukturze użytków rolnych poważny procent, więc nie dziwi zainteresowanie.

Gospodarzem lenarczyckiego spotkania był samorząd gminy Obrazów, a organizatorem Świętokrzyska Izba Rolnicza i Sandomierski Związek Ogrodnicy. Spotkanie prowadził Jan Oraniec, wiceprezes SZO. O sytuacji na rynku owoców miękkich mówił prezes Izby Ryszard Ciźla. Układ między dostawcami towarów rolniczych a zakładami przetwarzającymi jest niekorzystny dla tych pierwszych, którzy są zdani na łaskę tych drugich. Producenci potrafili skupić się w Unii Producentów Soków, która dyktuje ceny. Natomiast producenci owoców i właściciele skupów nie są zdolni do konsolidacji.

Informacje na temat sytuacji w przetwórstwie oraz prognozę zbiorów owoców miękkich i jabłek w regionie sandomierskim próbował przekazać zebrany Adam Fura z oddziału sandomierskiego Świętokrzyskiej Izby Rolniczej. O istniejącej strukturze zbytu w regionie mówił Janusz Suszyzna z ŚIR.

Henryk Kuchnicki, przedstawiciel tzw. grupy ożarowskiej, dzielił się z zebranymi doświadczeniami nabytymi podczas inicjowania powstania grupy producenckiej owoców miękkich w kilku gminach nadwiślańskich.

Mirosław Drab, szef Komisji Rolnej Rady Gminy w Obrazowie, a także właściciel kilku skupów owoców, apelował o zrzeszenie się prowadzących punkty skupu w regionie. Skupy bowiem mogą odegrać wiodącą rolę w regulacji produkcji i dystrybucji owoców.

J.M.



W spotkaniu wzięli też udział radni: Grzegorz Dzikowski i Tomasz Pietras.



Henryk Kuchnicki



CZAS ZBUDOWAĆ STANICĘ WODNĄ DLA GMINY OŻARÓW

Gmina Ożarów jako prężny obszar administracyjny rozwija się pomyślnie, a okoliczni mieszkańcy żyją na coraz wyższym poziomie. Nie sposób jednak nie zauważyć, że postęp we wszystkich dziedzinach życia następuje coraz dynamiczniej, współczesna cywilizacja nieustannie zwiększa tempo życia i powoduje narastanie stresów szkodliwych dla zdrowia. Toteż naturalnym odruchem obronnym człowieka jest poszukiwanie skutecznego sposobu na wypoczynek, stanowiący alternatywę dla pełnego stresogennych sytuacji dnia dzisiejszego.

W Polsce, podobnie jak na całym świecie, obserwuje się trend do tzw. wypoczynku aktywnego, którego najlepszym przykładem jest wypoczynek na wodzie, gdzie czas płynie inaczej, gdzie nie ma hałasu ani spalin. Dlatego warto podjąć stosowne działania, zmierzające do zbudowania na terenie gminy Ożarów Ośrodka Sportów Wodnych i Turystyki, nazywanego skrótowo Stacją Wodną. Gmina ma ku temu dobre warunki, bo przecież w miejscowości Nowe jest częściowo zagospodarowane nabrzeże Wisły, istnieją też zaczątki zaplecza hotelowego w gospodarstwie agroturystycznym państwa Sawickich. Natomiast w pobliżu Biedrzychowa znajduje się Przeria, uroczysko jezioro, które może być doskonałym akwenem dla żaglówek i kajaków.

NAJTRUDNIEJSZY BĘDZIE POCZĄTEK

Budowa Stacji Wodnej będzie przedsięwzięciem trudnym i kosztownym, dlatego zadanie to należy umiejętnie rozłożyć na kilka etapów. Swego czasu byłem współzałożycielem i prezesem Klubu Wodniackiego „Rybitwy” w Dęblinie, a kilka lat później współzałożycielem Klubu Wodniackiego „Laguna” na Wale Miedzeszyńskim w Warszawie. Mam doświadczenie, które teraz może okazać się przydatne.

Uważam, że w pierwszej kolejności trzeba mocno spopularyzować wśród mieszkańców gminy turystykę i wypoczynek na wodzie poprzez udostępnianie możliwości udziału w obozach żeglarskich, rejsach morskich czy spływach kajakowych. Jako długoletni wodniak mogę pośredniczyć w kontaktach z klubami i ośrodkami, które przyjmą chętnych kandydatów na obozy i rejsy żeglarskie. Po zaliczeniu obozów i odbyciu rejsów wyłoni się ścisłe grono pasjonatów, którzy powinni założyć Klub Wodniacki przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury. Nie będzie to trudne ani kosztowne, bo klub nie musi posiadać własnego sprzętu ani innego majątku po to, żeby zarejestrować się i sprawnie funkcjonować. Klub jako organizacja będzie wiarygodnym partnerem do prowadzenia rozmów w sprawie budowy Stacji Wodnej, poszukiwania sponsorów, opracowywania dokumentacji, a także powinien być organem doradczym Burmistrza Miasta i Gminy w sprawach wodniackich. Sprzęt pływający, nabywany sukcesywnie, zarówno prywatny, jak i stanowiący własność społeczną, będzie znajdował się pod fachową opieką członków klubu. Pojawienie się na mapie Polski Stacji Wodnej, w kompleksie Nowe-Biedrzychów, z całą pewnością będzie powitane przez wodniaków z dużym entuzjazmem. Nowe stanie się ważnym etapem przystankowym dla tych, którzy uprawiają spływ Wisłą. Natomiast Przeria i otaczające ją błonia są doskonałym terenem na obóz żeglarski pod namiotami, którym mogą zainteresować się inne kluby, a gmina na tym trochę zarobić.

Czy wizje, jakie roztaczam przed Czytelnikami, są realne? Zapewniam z dużym przekonaniem, że są możliwe do spełnienia, ponieważ sam przeżyłem drogę, którą teraz proponuję.

Z CZÓŁNA NA JACHT PEŁNOMORSKI

W latach powojennych - jako mieszkaniec Lasocina, a także później - wiele dni słonecznych spędziłem w Biedrzychowie nad wcześniej wspomnianą Przerią. Wtedy stało na wodzie powszechnie dostępne gromadzkie czółno. Ileż to uciechy było, gdy całymi dniami pływałem czółnem razem z chłopakami... Zauroczenie przeżywane wtedy nie wygasło we mnie do tej pory.

Nie ma już czółna na Przerii, a ja od trzydziestu lat każdego roku wypływam jachtem na morze. Od 1980 roku posiadam



patent jachtowego kapitana żeglugi wielkiej. Uczestniczyłem w wielu krajowych i zagranicznych regatach jachtów pełnomorskich, m.in. pięciokrotnie w Morskich Żeglarskich Mistrzostwach Polski (3 brązowe medale i 1 klasa sportowa). W roku 2003 uczestniczyłem z załogą młodzieżową w międzynarodowych regatach „Cutty Sark” (Operacja Żagiel 2003). Rok później prowadziłem po Bałtyku rejs stażowo-szkoleniowy dla młodzieży na kolejny stopień żeglarski.

Teraz - jako kapitan i instruktor żeglarstwa - odczuwam wewnętrzną potrzebę spłacenia długu za ową możliwość pływania czółnem na Przerii. Jestem gotowy w rejsie morskim 2005 przyjąć do załogi 2 - 3 osoby ze środowiska gminy Ożarów. Trzeba posiadać paszporty, bo rejs będzie z wejściem do portów zagranicznych.

Niestety, uczestnictwo w imprezach związane jest z koniecznością ponoszenia kosztów. Dla orientacji mogę określić uśrednione odpłatności:

1. Uczestnictwo w 3-tygodniowym obozie żeglarskim (zakwaterowanie, wyżywienie, egzamin na stopień żeglarski) wynosi ok. 1500 PLN;
2. Uczestnictwo w 2-tygodniowym rejsie morskim - poniżej 1000 PLN.

Chętnie odpowiem na wszelkie pytania za pośrednictwem redakcji bądź bezpośrednio pocztą internetową. Mój e-mail: antoni_tomeczyk@wp.pl

Antoni Tomeczyk
j.kpt.ż.w.

PS Zainteresowanych prosimy o kontakt z dyrektorem Mariem Susem.

BAL CHARYTATYWNY „DAR SERCA” dla dzieci specjalnej troski - Ożarów 05.02.2005 roku

W trakcie III edycji Balu zebrano podczas licytacji kwotę 7200 złotych. Zgromadzone fundusze przeznaczone zostaną na: dożywianie dzieci w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. E. Szyłki w Ożarowie, pomoc finansową dla Specjalnego Ośrodka Szkolno - Wychowawczego w Dębnie i Sulejowie, zakup przyborów szkolnych dla dzieci ze Szkół Podstawowych w Lasocinie, Pisarach i Suchodółce oraz pomoc finansową chorym dzieciom.

W sobotni wieczór 5 lutego w budynku ZSO im. E. Szyłki w Ożarowie Zarząd Oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego w Ożarowie zorganizował Bal charytatywny z udziałem 70 osób. Wśród nich znaleźli się m. in. Marcin Majcher - Burmistrz Miasta i Gminy Ożarów, Paweł Rędzia - wiceburmistrz, ożarowscy przedsiębiorcy, przyjaciele ZNP i związkowcy.

Licytację poprowadziły Wanda Kołtunowicz - prezes Zarządu Oddziału w Ożarowie i Krystyna Słowik - wiceprezes, w asyście członkiń Klubu Młodego Nauczyciela, Renaty Kołtunowicz-Kaczor i Sylwii Wrony. Za stronę finansową licytacji odpowiadały Maria Gierach i Beata Cisowska.

Przedmioty wystawione na licytację przekazali:

- Wojewoda Świętokrzyski Włodzimierz Wójcik - książkę przedstawiającą kielecką ulicę Sienkiewicza,
- przewodnicząca Rady Powiatu Alicja Różańska Cembrowska - firmowy długopis, pamiątkową filiżankę, gadzety Koła Łowieckiego,
- Starosta Opatowski Kazimierz Kotowski - obraz olejny,
- wicestarosta Marek Staniek - obraz olejny,
- wiceburmistrz Ożarowa Paweł Rędzia - obraz olejny,
- Anna Dworak - grafikę,
- dyrektor MGOK w Ożarowie Marian Sus - obrazy olejne,
- Mirosław Rolak - gadzety „Echa Dnia”, kalendarze,
- „Kolporter Korona” Kielce - komplet gadżetów,
- KSZO Ostrowiec - piłkę z podpisami piłkarzy,
- Grzegorz Dębniak - kalendarz,
- Jerzy Cieciora - turystyczny kuferek,
- Zarząd Gł. ZNP - Wanda Kołtunowicz - trzydniowe pobyty w ośrodkach wypoczynkowych ZNP, parasolkę i gadzety z logo związku,
- Krystyna Słowik - srebrne serce,
- Maria Gierach - srebrny naszyjnik,
- Renata Kołtunowicz - Kaczor i Urszula Nawrocka - maskotki zdobyte w konkursie piosenki harcerek,
- Elżbieta Sochacka - koszulkę,
- Renata i Artur Kaczor - maskotkę,
- prace wykonane przez uczniów, wychowanków i nauczycieli Szkoły Podstawowej w Lasocinie, Pisarach, Suchodółce, ZSO w Ożarowie oraz SOSW w Dębnie i Sulejowie.

Przedmioty wystawione do licytacji osiągały wysokie ceny. Wśród licytujących znaleźli się: A. Różańska Cembrowska, J.M. Majcherowie, A.P. Rędzia, M.J. Roźmiejowie, H.M. Frańczakowie, J.J. Cieciorowie, H.R. Schulzowie, U.R. Komperdowie, E.K. Sojowie, M.A. Banasiewiczowie, E.A. Kosiorowscy, B.J. Radziwoniowie, M. Rolak, M.A. Arczewscy, B.M. Zubrzyccy, N.M. Roźmiejowie, B.D. Małęccy, M.G. Dębniakowie, K. Słowik, M.B. Śmigielscy, B.M. Cisowscy, A.G. Witkowie, D.P. Buchalscy, R.M. Przepierzyński.

Akcję „Dar serca” poparli ludzie wrażliwi na potrzebę drugiego człowieka, przekazując darowiznę dzieciom specjalnej troski: M. Dworak, K. Kotowski, M. Majcher, J.A. Ptakowie, P. Rędzia i U.M. Soboniowie.

Zarząd Oddziału ZNP w Ożarowie kieruje serdeczne podziękowania ofiarodawcom za okazaną pomoc rzeczową i finansową, dyrekcji, pracownikom kuchni i klasie maturalnej Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. E. Szyłki w Ożarowie za pomoc w organizacji Balu.

Organizatorzy



WCZORAJ I DZIŚ GROCHOCIC

Z Grochocicami związana jestem od połowy lat 60. Dla bystrego obserwatora jest to wystarczający okres na zauważenie zmian, które niewątpliwie zaszły w niewielkiej wiosce, jaką są Grochocice. Gospodarstwa wielkością tu nie odbiegają od przeciętnych. Raczej średnie, niż duże. Zaledwie kilku rolników prowadzi gospodarstwa kilkudziesięciohektarowe. Zarówno te duże, jak i małe próbują uporać się z wieloma problemami ekonomicznymi, które dotyczą rolników, poszukując coraz nowych, bardziej opłacalnych, gałęzi produkcji. Mimo ogromnych z ich strony wysiłków, nie zawsze udaje się trafić na odpowiedni wybór.

Spora grupa rolników zaryzykowała uprawę warzyw, jakie do tej pory jeszcze się opłacały. Lecz rynki zbytu, które dotąd pochłaniały nasz towar, przestały się nimi interesować. Gnijąc w kopcach, czekają na lepsze czasy marchew, pietruszka i buraki. W magazynach leżą setki ton cebuli. Podobnie jest z kukurydzą i fasolą. Nie lepiej wygląda sytuacja ze zbożem. Choć ceny jego są katastroficznie niskie, to ciągle wzrasta koszt produkcji. Niektórzy próbują szczęścia w sadownictwie i uprawie malin. Całkowicie wyeliminowano czarną porzeczkę. Uprawia się natomiast sporo buraków cukrowych. Uprawa buraka od zawsze była opłacalna. To spore pieniądze i bardzo cenna pasza, dzięki której Grochocice słynęły z hodowli, a co za tym idzie – z produkcji mleka. Tak było. Obecnie tylko jedno gospodarstwo może pochwalić się produkcją mleka z prawdziwego zdarzenia. Jest kilka mniejszych, które starają się nadażyć za unijnymi wymogami, natomiast wielu po prostu zrezygnowało z hodowli.

W ostatnim ćwierćwieczu rolnictwo nasze przeszło olbrzymią ewolucję w dziedzinie postępu. Milowymi krokami wkraczała mechanizacja, a z nią łatwiejsza stawała się praca. W swoim dorobku mamy wodociągi, gaz, telefony, a mimo olbrzymiego postępu, na przekór logice, wieś coraz bardziej ubożeje. W początkach lat 60. nie było prądu ani utwardzonej drogi. Doczekaliśmy się oświetlenia ulicznego i asfaltu, chociaż ten z każdym rokiem coraz bardziej jeży się wyglądającymi spod niego kocimi łbami. Wreszcie w 2003r. utwardzono i wyasfaltowano ostatni odcinek drogi – z Grochocic do Janowic. I to jest droga z prawdziwego zdarzenia.

W połowie lat 60. w Grochocicach założono KGW. Działo ono bardzo pręźnie. Kobiety chętnie garnęły się do tej babskiej organizacji, gdyż w czasach, kiedy telewizor był luksusem, spełniała rolę integracyjną wsi. Organizowane były różne kursy: pieczenia, gotowania, szycia, robótek ręcznych oraz wyrobów garmażeryjnych i wędlin. Wieś była w luksusowej sytuacji, gdyż dysponowała sklepem, zlewnią mleka, a także świe-

tlącą. To właśnie w świetlicy odbywały się wyżej wymienione kursy, jak również szkolenia rolnicze czy zwykłe wiejskie zebrania. W okresie żniwnym adaptowano ją na dzieciniec, na którym nasze pociechy przez 10 godzin przebywały pod okiem fachowych opiekunów. Dostawały drugie śniadanie, pełen obiad i podwieczerek. Dzieci bawiły się bezpiecznie, zaś rodzice mogli spokojnie pracować w polu. Świetlica była miejscem, w którym mieszkańcy wsi często się spotykali na zabawach andrzejkowych i sylwestrowych. Tam świętowano zakończenie żniw czy wykopków – zawsze przy muzyce. Ludzie byli zadowoleni i szczęśliwi, że wreszcie uporali się z bardzo ciężką pracą, wykonywaną w tamtych czasach ogromnym trudem ludzkich rąk. Tutaj w Wielką Sobotę odbywało się poświęcenie pokarmów. Każdego roku kolejna gospodyni miała obowiązek zadbać o odpowiednie przygotowanie świetlicy, która na godzinę zamieniała się w wystawę pięknie przybranych koszyczków, wypełnionych kolorowymi pisankami i smakowitymi domowymi kiełbasami, których zapach czuć było aż na drodze. Cudowne pisanki cieszyły oko nie tylko dzieci. My, dorośli, też chętnie zerkaliśmy do odkrytych koszyczków, podziwiając te miniaturki sztuki ludowej. Były to czasy, kiedy ludzie potrafili i odczuwali potrzebę bycia ze sobą.

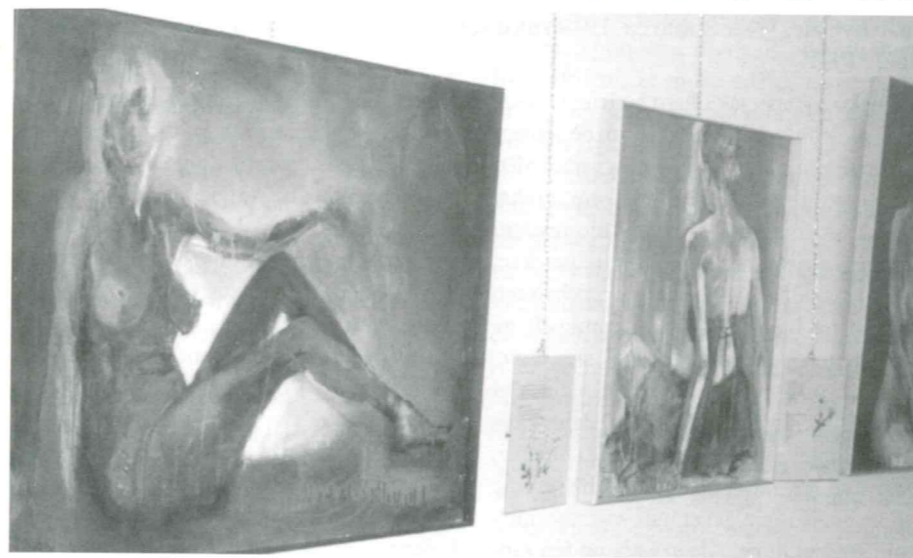


Dziś budynek, który ongiś pełnił bardzo ważną funkcję w życiu wsi, przedstawia żałosną ruinę i jest niechlubną wizytówką Grochocic. Na pewno jest to wina miejscowych chuliganów, choć myślę, że dopomogli i ci z zewnątrz. Świetlica straszny dziurami pustych okien, wyrwanymi drzwiami, kupami gruzu i śmieci. Jest to nie tylko moim marzeniem, żeby temu budynkowi przywrócić pierwotną rangę, a może nawet postarać się o awans. Czasem kilkoro nastolatków próbuje podjąć nierówną walkę z wandalizmem. Uprzątają śmieci, zamiatają podłogę, a nawet próbują uprzętnąć olbrzymi plac przed budynkiem. Jest to jednak trud Syzyfa, daremny wysiłek garstki młodych ludzi, bo w takim stanie, w jakim obecnie znajduje się budynek, każdy wysiłek idzie na marne. Bohaterski zryw tej małej garstki młodych ludzi jest dowodem na to, jak bardzo im brak miejsca, gdzie mogliby się spotykać, żeby godnie i kulturalnie spędzać wolny czas.

I tu ukłon w stronę władz gminnych. Gdyby tak spróbować w jakiś sposób pomóc tej młodzieży, która jako miejsce spotkań ma ulicę... Wiadomo, ulica nie zobowiązuje do niczego, raczej wyzwała tę gorszą stronę natury ludzkiej. Gdybyśmy wspólnie podjęli ten wysiłek, kto wie? Być może opłaciłoby się to z nawiązką. Skorzystaliby wszyscy, młodzi i starsi...

Zofia Sobótka

STANY KOBIECOŚCI



W styczniu i lutym w Miejsko – Gminnym Ośrodku Kultury w Ożarowie czynna była wystawa pt. „Malarstwo Marty Zawadzkiej”. Autorka pokazywanych prac pochodzi z Opatowa. Urodziła się 14 lipca 1979 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim. W latach 1994 – 98 uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego w Opatowie. Plastykę studiowała w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Otrzymała dyplom z wyróżnieniem w pracowni malarstwa prof. Wenera Lubosa w 2004 roku. Brała udział w kilku wystawach zbiorowych i plenerowych: BWA Częstochowa: 2001 Ustka, Tarnowskie Góry – Galeria „Pod – Nad”, 2003 Zakopane – Galeria „Strug”, „Opatów 2004” – Opatowski Ośrodek Kultury, 2004 „Śladami Gombrowicza” – BWA Ostrowiec Św., Jesienny Salon Sztuki – BWA Ostrowiec Św., Ostrowieckie Środowisko Plastyczne – BWA Ostrowiec Św., 2005 – wystawa indywidualna w Opatowskim Ośrodku Kultury.

Styczniowo – lutowa ekspozycja w ożarowskiej placówce jest już drugą indywidualną wystawą prac autorki. Pokazała na niej trzynaście obrazów olejnych z wizerunkami kobiet, głównie aktów, a właściwie jednej i tej samej pozującej modelki. Jednak malarce nie chodzi tu o portret konkretnej osoby, lecz o kobietę w ogóle, a właściwie kobiecość. We wstępie do wystawy pisze: „namalowałam niektóre z wielu stanów kobiecości – poprzez tklivość, ciepło, romantyzm, przez surowość, niespełnienie, niekochanie, dramatyzm, samotność po destrukcję”.

Marta Zawadzka uważa, że wyjątkowo pięknie potrafiła pisać o swej kobiecości Halina Poświatowska. Dlatego jej utworami podpisała swe obrazy, umieszczając pod każdym z nich karteczkę z tekstem prezentowanego w całości wiersza. Stany kobiecości opatowianka stara się oddać nie tylko wyrazem pozy i twarzy modelki, ruchu i potraktowaniem jej ciała. Wchodzi tu w grę również kolor, światło, walor, kompozycja i nastrój.

Na zaprezentowanych w ekspozycji płótnach nie spotykamy wesołej i roześmianej kobiety. Są tu raczej ujęcia postaci o przeżyciach głębszych, pełnych zadumy, rozmyślań, smutku, rozpamiętywania, oczekiwań, wspomnienia, zmysłowości, odwagi, rezygnacji, melancholii i dramatyzmu. W tych sytuacjach psychicznych ujawniono wewnętrzny świat kobiety. Oto dziewczyna siedząca do widza tyłem z rozpiętą sukienką. Kobiecość oddana tu została nie tylko uczesaniem, wyrazem rąk czy wysuniętym kolanem, lecz przede wszystkim powabnym niezdecydowaniem, widocznym w wahającym się zamyśleniu. Efekt zamyślenia wzmocniono obecnością w tle i sukience błękitu oraz fioleto – kolorów myśli i melancholii. Również kontrastem niebieskiego i żółci oraz światła i cienia.

Dama w białym kapeluszu z błękitną wstążką przedstawiona została w napięciu oczekiwania, widocznym w gotowości powstania z krzesła i wyjścia na powitanie. Całość w niebiesko – zielonej tonacji. Scenę podpisano wierszem pt. „inwokacja”:

no przyjdź
moje ciało o konstrukcji ptasich piór
niecierpliwie i drżące czeka
moje ciało z uśmiechem traw
moje usta z młodego księżyca
moje stopy z wilgotnego mchu
czekam... (fragment)



Z kolei wiersz „xxx”
Żyje się tylko chwilą
a czas –

jest przezroczystą perłą
wypełnioną oddechem... (fragment)

umieszczono przed obrazem z siedzącym na ziemi i opartym o ścianę aktem, zapatrzonym z nadzieją w okno zatopione w potokach światła. Rozmarzona kobieta żyje chwilą. Oddane to zostało przy pomocy impresyjnego malowania utrwalającego wrażenie przelotnej chwili. Całość w jasnej tonacji szaro – błękitno – zielonej, mieniąca się migotliwością światła i przezroczystością materii.

W płótnach artystki nie ma kokieterii tanią ładnością. Ich uroda polega na ekspresji. Wszystkie zrealizowano w konwencji mniej lub bardziej ekspresjonistycznej. Postacie dziewcząt zostały świadomie wydłużone. Celowo pozostawiono pionowe zacieki farby, powstające na skutek zdecydowanych malarskich gestów. Najbardziej ekspresyjne płótna na wystawie mają rysunek mniej realistyczny. Formy ulegają zamierzonemu uproszczeniu i surowości. W postaciach uwidoczniła zostaje budowa kostna. Zwiększa się walorowy kontrast tła i figury. Kolory pełne szarości i brązów, zwłaszcza w tle, często o ładnej materii malarskiej. Inne prace oddają stany kobiecości uwikłane w zmysłowość i ogniste porwy namiętności. Wykonanie ma już inną konwencję stylistyczną i technikę. Działają żywe i gorące barwy oraz bardziej uproszczony rysunek. Postacie stapiają się lub żyją schowane pod deszczem nakrapianej farby białej i różowej. Intensywny fowistyczny koloryt i zaborcze pociągnięcia pędzlem tworzą brutalny wyraz. Widać to w akcie malowanym krechami jaskrawych barw („to my rodzimy mężczyzn”).

Tomasz Staszewski

BYŁAM NA ROBOTACH

Było to w końcu lutego 1940 roku. Przyszedł do mojego domu w Tarlowie wówczas sołtys Soiński i rozkazał, żeby pojechać do Niemiec, w przeciwnym razie może być źle. Więc 3 marca 1940 roku sołtys załatwił konną podwodę po to, żeby odwiedzić do Ostrowca Świętokrzyskiego na stację PKP.



Było nas dużo osób, wsiedliśmy do pociągu i w drogę. Pamiętam, że jechaliśmy przez Poznań – Berlin – Frankfurt, a następnie do Hannoveru. W Hannoverze wgonili nas do jakiegoś pomieszczenia, wszyscy musieli się do naga rozebrać, bo Niemcy musieli przeprowadzić dezynfekcję ubrań i bielizny. Następnego dnia zawieźli nas do Arbeitsamt Hameln, tu już czekali na nas Niemcy, którzy potrzebowali rąk do pracy, a urzędnik z tego Arbeitsamtu podzielił nas na grupy. I grupa na pole bei Bauer. Ten mój Bauer nazywał się Karl Bartels, miejscowość Springe a/Deister. Springe leży na tej trasie Hannover – Hameln. Ten Bartels był w wojsku w stopniu Oberleutnant. Był na wojnie, a obcokrajowców zatrudniał w swoim gospodarstwie, a Niemców, którzy byli niezdolni wojować, to pilnowali nas, żeby my się nie objęli w pracy.

Gdy między innymi mnie przywieźli już do Springe, to pierwszym ich zadaniem było przypiąć Polakom literę „P”, na żółtym polu liliowe „P” i obwódka liliowa. Jeśli ktoś nie nosił tego wyżej wspomnianego znaku, to jak żandarm zobaczył, no to guma nie żałował po plecach lub inną karę wymyślił („Strafebezahlen”). Natomiast ruskim lub ukraińskim robotnikom to nadawano oznakowanie „OST” na białym polu, litery jakiego koloru były, to już zapominałam. A którzy byli w lagrze KG Kriegsgefangene, nie wolno było po godzinie 21 wyjść nawet na ulicę lub do kolegi. Również nie wolno było się gromadzić. Zabronione również było odwiedzać kolegów na innej wsi.

Pewnego razu odważyłam się pojechać pociągiem do koleżanek i kolegów w miasteczku Lauenau. To były Zielone Świątki, tu mieliśmy takie spotkanie na temat wojny,

jak daleko są nasi, jak długo będziemy jeszcze w niewoli, i takie jeszcze różne tematy związane z tą niewolą. Naraz wpada jeden z kolegów i mówi: żandarm cię szuka, chyba ktoś przeskarżył. Wtedy nie miałam żadnego wyjścia, nie było którędy uciekać, było już za późno – wtedy mnie szybkoitko w szafie na bieliznę ukryli i zamknęli na klucz. A ten żandarm nazywał się Tacie. Ona musi tu być, bo mu ktoś zameldował i jest pewny, że ona tu jest, „ta dziewczyna von Pohle”, i usiadł przy stole, i siedzi, siedzi i se on Tacie myśli, że może mimo woli znajdzie mnie, po chwili wyszedł, niby że nie znalazł mnie. Ale szwab, no ten żandarm, za niedługi czas wrócił się, myślał, że tym razem mnie spotka, ale jeden z kolegów stał w furcie i go obserwował, żandarm się wrócił i nie wierzył, że mnie tam nie ma, a mnie, stojąc w tej szafie, strach ogarniał. Raz że powietrza mi było brak, a jakby kaszel był, to on by usłyszał, i wtedy by się wszystko wydało, a wtedy racja by była po jego stronie. Jak już wspominałam, że nie wolno było oddalać się od domu, w którym pracowałam, a jazda pociągiem szczególnie surowo była zabroniona. Z powrotem musiałam przybyć na stanowisko pracy, co będzie, to będzie. Ukryłam pod klapą płaszcza, żeby mnie tak szybko nie poznali, literę „P”. Naraz wchodzi kontrola dokumentów, a to był taki długi pociąg „pulman”, że wszystko i wszystkich pasażerów można było widzieć wzdłuż pociągu. Przede mną siedziały trzy Ukrainki. Ta kontrola do nich podchodzi i pyta: Ausweiss bitte. Jedna mówi: szto on gawori? Druga mówi: ja nie znaju, szto on gawori, trzecia - ja toż nie znaju, szto on gawori. A on – wy świnię ruskie, ja was wyrzucę przez okno i krzyczy nad nimi. Ja wszystko rozumiałam, jego bluźnierstwa kierowane pod ich adresem. Lecz sobie myślę, co ze mną się stanie, jeśli podejdzie do mnie. Ułamek sekundy miałam do namysłu. Głowę trzymałam na dół, ale sobie myślę, że lepiej będzie głowę do góry trzymać. Więc już podchodzi do mnie i pyta: Haben sie Ausweiss? Ja mu odpowiadam: Ich habe keine, ich habe zu Hause gelassen, ale on nie krzyczy, tylko delikatnie pyta: Sind sie Auslander? Ja mu odpowiadałam, że tak. Tak sobie pomyślałam, że jeśli mi mówi na pani, to może mnie ominą te bluźnierstwa. Następnie pyta jeszcze: Wo wohnen sie? Ja mu odpowiadałam, że in Dorf Pohle. Zapisał w notecie i odszedł ode mnie. Gdy już byłam w domu, bauerka pyta mnie, czy złapali mnie

w pociągu? Bo tu już dzwonili, czy taka tu pracuje. Miałam wówczas szczęście, że nie ubliżał mi. W tej szafie długo, długo stałam, bo liczyłyśmy na to, że może się znów wrócić, bo był pewny, że ja u tych Polaków tam jestem, bo taki meldunek otrzymał. Zbliżał się już wieczór. Jak tu teraz iść, skoro mnie tak szukają. Wyszedłam już z tej szafy i jeden z kolegów mnie odprowadził do autostrady, i bokiem, bokiem przydrożne krzaki dodały mi odwagi, i doszłam do samego domu, w którym pracowałam. Tym razem żandarma nie spotkałam. I znów miałam odrobinę szczęścia z pomocą kolegów Polaków z innej miejscowości. Ogólnie traktowani byliśmy jak nie - ludzie, tylko jakieś potwory. Swoim dzieciom to Niemcy wpajali to, że Polak to ma rogi i należy się Polaków bać. To mi mówił jeden z Niemców, który razem z nami pracował – nazywał się August Schröder, miał wówczas 35 lat. Na wojnę go nie wzięli, dlatego że siedział dwa lata w więzieniu za komunę. O tej rozmowie prosił mnie, żebym go nie wydała Niemcom, bo by go za to powiesili, czyli przykładowo ukarali, bo on jest Niemcem i nie powinien zajmować się sprawami związanymi z polityką. Ja mu zapewniłam dyskrecję, wtedy czuł się pokrzepiony na duchu, że mógł porozmawiać o swoich problemach politycznych, a także że był przeciw Hitlerowi.

Z kolei znów miałam przygodę z żandarmami. Był to miesiąc maj, wycinaliśmy oset w zbożu, było nas troje: dwie polskie dziewczyny, Malinowska Waclawa z Białegostoku, ja - Domińczak Kazimiera z Tarłowa, obecnie Knap, i jeden Niemiec. Niemiec to po to, żeby nas pilnował, żebyśmy się nie objęły, tylko solidnie wykonywały pracę. Tego dnia trzeba było pracować zgodnie z ich wymogami od godziny 6 rano do 18. Po godzinie 18 chcemy iść do domu, no bo jeszcze praca w kuchni na nas czekała. A ten szwab mówi, że nie idziemy, bo musimy dokończyć, więc nie miałyśmy innego wyjścia, bo musimy go słuchać. No to żeśmy go posłuchały, zostając po godzinach, ale naczyły po kolacji postanowiłyśmy nie zmywać. Ten przeklęty szwab Hupe W. zadzwonił po żandarma, który przyszedł, by mnie z koleżanką Wacią zbić. Waclawa przyszła 30 minut wcześniej ode mnie, bo ja jeszcze wstąpiłam do koleżanki. O godzinie 21.30 wróciłam, czyli o 30 minut po zakazanym czasie. Wchodzę do domu, Waclawa siedzi w ubikacji i płacze. Pytam się, czego płacze. Bo mnie zbił żandarm, a teraz czeka

na ciebie, by cię zbić. Wchodzę do kuchni, a żandarm się pyta która godzina? Ja mówię: halb zehn, a on: o której masz być w domu? Ja odpowiadam, że o 21. To gdzie byłaś te pół godziny? U koleżanki. I uderzył mnie w głowę z jednej strony, a potem z drugiej, a w końcu gdziekolwiek. Nie do wytrzymania było. Myślę sobie, że nie będę płakać – to on nie przestaje bić – to postanowiłam zapłakać – wtedy przestał bić. Ja mu tylko tyle powiedziałam, że porządny człowiek, to nawet psa nie uderzy, a on mi odpowiada, co? Ja cię mogę zastrzelić, wtedy już płakałam, a on przestał bić.

Miało się już ku końcowi wojny. Było to w Święta Wielkanocne. Niemcy przymusowo kazali Polakom jechać do lasu, by nawycinać chojaków, żeby zrobić z nich barykady po to, że jak będą amerykańskie wojska wkraczać, żeby nie mieli możliwości przedostać się na drugą stronę, ale Amerykanie bez problemu barykady odrzucili i bez żadnej przeszkody przedostali się. Niemcy nie mieli już innego wyjścia z sytuacji, tylko pozostał im taki ratunek, by wywiesić białe flagi, tzn. że już się poddają.

Zanim jeszcze Amerykanie byli już niedaleko, to Niemcy mieli dyżury, krótką broń każdy miał przy sobie na wypadek jakiej potyczki przy tych barykadach. Amerykanie weszli be żadnego boju do tej wsi Pohle. Pamiętam, jak mnie kazała ta bauerka zanieść jeść dla jej męża, który między innymi brał udział przy tych barykadach przez całą noc. Idąc drogą, strach ogarniał, bo samoloty amerykańskie zniżały się i z karabinu maszynowego strzelali do tych ludzi, co pracowali na roli, bo myśleli, że to są Niemcy, nawet kilku Polaków zginęło. Po jakimś czasie, bo wywiad był doskonały, że ci ludzie, co w polu pracują, to są wszyscy obcokrajowcy, i nie należy do nich strzelać, wtedy po takim meldunku przestali strzelać z samolotów. Ja jak szłam z tym jedzeniem bauerowi, to uciekałam do rowu, bo się bałam, żeby mnie kula nie trafiła.

Po wejściu Amerykanów do naszej wsi kazali oni wyprowadzić się z ich domów, bo tu będą mieszkać Polacy i kilka wsi wysiedlili w inny teren. Niemcy musieli się Amerykanom podporządkować i rad nierzad opuścili swoje siedziby od dotychczasowych miejsc zamieszkania, zostawiając mieszkania do naszej dyspozycji. W jednym z tych domów we wsi Pohle zamieszkali amerykańscy oficerowie, bo tam były warunki dobre dla tego sztabu wojskowego. Niemców z tego domu wygonili. Nie dotyczyło nas, bo tu było w tym mieszkaniu dwie Polki, Waclawa Malinowska, ja, jeden Polak Stanisław Grzelczyk i Ukraińiec Iwan Borowski. My jako panienki bałyśmy się, bo to żołnierze, lecz

sami oficerowie. Więc nie kazali nam się bać, żadnej krzywdy nam nie robią. Tylko przypominali nam, żeby na noc nie zamykać drzwi na klucz do naszego pokoju. Na drzwiach przylepić literę „P”, bo oni muszą być ostrożni, że może gdzieś jaki Niemiec czatuje na Amerykanów, mimo że białe flagi już powywieszane.

Następnego dnia przyszedł do tego domu właściciel Hupe Wilhelm. Amerykanie się jego pytają, po coś tu przyszedł? A on odpowiada: chciałem powiedzieć moim ludziom co mają robić, a Amerykanin mówi do tego Hupe W: To są już nie twoi ludzie, ty wynoś się stąd. Odwracając się w kierunku moim i koleżanki, co z nim zrobić? Kazał mu na baczność stanąć i przodem do ściany. Hupe się odwrócił do ściany, a nogi mu tak bardzo ze strachu dygotały, a ten Amerykanin, czy go zastrzelić? - zapytał. Ale my miękkiego serca odpowiedziałyśmy, że niech żyje. Pasowało go wtedy zastrzelić, bo - on zadzwonił po żandarmów na nas i on ten Hupe W. Bauer kazał żandarmom nas zabić. W dowód wdzięczności za uratowanie ojca Hupe córka jego Eryka zaprosiła mnie w odwiedziny do niej. Ale to była niespodzianka, okazało się w trakcie rozmowy. Ta córka tego Hupe, Eryka, rodzice jej, te dranie – naturalną śmiercią ze starości poumierali. Ona mieszkała in Rinteln nad rzeką Weserą. W tej chwili to i ona już nie żyje.

Następnie Amerykanie nas ulokowali w tych domach po Niemcach. Ta wieś, w której ja mieszkałam, nazywała się Ilserheide. Unra opiekowała się nami, była ogólna kuchnia, w której wszystkim Polakom z tej wsi gotowali obiady, natomiast śniadanie i kolacje to się składały z suchego prowiantu. Następnie przeznaczyli jakieś pomieszczenie na kaplicę rzymsko - katolicką. Co niedziela ksiądz kapelan wojskowy odprawiał mszę świętą, jak również i chór był, w którym między innymi ja śpiewałam. Najbardziej pieśniami kościelnymi, a w

szczególności podobała się pieśń: „O Panie, któryś jest na niebie”. Na życzenie parafian co niedzielę musieliśmy ją śpiewać, a także ulubiona była jeszcze:

*Panie, tu do Twych stóp,
biedni my tulacze dziś w zaufaniu
garniemy się, chciej nas wysłuchać
i naszą niewolę zakończyć daj,
o Panie nasz.*

W tej wsi Ilserheide założyliśmy również Związek Harcerstwa Polskiego. Na prawym ramieniu na czerwonym polu białe litery „Poland”, na lewym „Girl skauts”, trochę niżej ramienia lilijka harcerska. Chłopcy „Skaut Boys” po jednej stronie, po drugiej „Poland”. Mieliśmy również obóz harcerski z flagą polską. W harcerstwie śpiewaliśmy różne piosenki, między innymi i modlitwę harcerską:

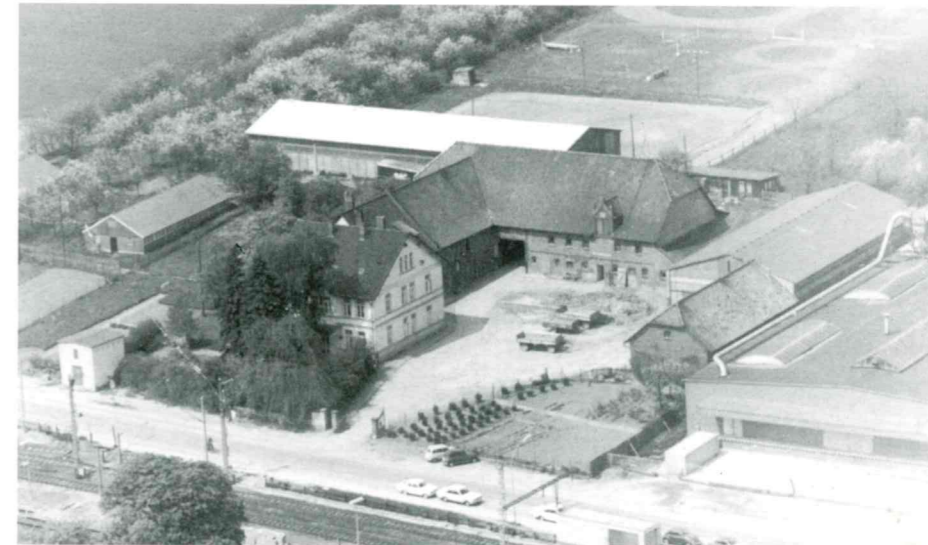
*O Panie Boże, Ojczy nasz,
W opiece swej nas miej.
Harcerskich serc Ty drgnienie
Znasz. Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę,
Miłując, chcemy żyć.
Harcerskim prawom w życiu dniach
Wiernymi zawsze być.*

A jeszcze jedną pamiętam, to się nazywa „Przygoda obozowa”. Słowa tej przygody obozowej to dla mnie pamiętka z obczyzny.

Ponieważ tęskniłam za Polską, więc długo myślałam, co robić, czy wrócić do Polski, czy do innego kraju jechać, no bo taka możliwość była nawet za granicę w różne kraje jechać. Postanowiłam do Polski, mimo agitacji, którą agitowali niektórzy Polacy, jedni do Polski, inni gdzie kto chce. Dużo osób do Polski zdecydowało, chętnych samochodami podrzucili do portu Hamburg. Z Hamburga do Szczecina jechaliśmy przez Morze Bałtyckie, okrętem, który się nazywał „Isar”. Był to okręt handlowy. Widziałam latarnię morską na brzegu Skandynawii.

Kazimiera Knap

(zachowano oryginalne brzmienie słów)



STUDNIÓWKA W ZESPOLE SZKÓŁ W OŻAROWIE

22 stycznia 2005 roku w Zespole Szkół w Ożarowie odbył się jedyny i niepowtarzalny bal studniówkowy, na którym bawili się uczniowie pięciu klas maturalnych: Liceum Ogólnokształcącego, Liceum Profilowanego, Technikum Elektronicznego i Technikum po Zasadniczej Szkole Zawodowej oraz dyrekcja i grono pedagogiczne. W uroczystości uczestniczyli również zaproszeni goście: wicestarosta opatowski Marek Staniek, Burmistrz Miasta i Gminy Ożarów Marcin Majcher oraz wiceburmistrz Paweł Rędziaś wraz z małżonkami.

Uroczystego otwarcia balu dokonał oczywiście dyrektor szkoły Mirosław Adamek. W swojej przemowie słowa podziękowania za wkład włożony w przygotowanie balu skierował do rodziców tegorocznych maturzystów. Dyrektor przekazał w ręce młodzieży symboliczny klucz do bram szkoły, życząc jednocześnie udanej zabawy do białego rana. Następnie wicestarosta Marek Staniek odczytał życzenia przesłane od Starosty Opatowskiego Kazimierza Kotowskiego.

W imieniu rodziców maturzystów głos zabrała przewodnicząca Rady Rodziców Jolanta Gołąb, dziękując gronu pedagogicznemu za trud włożony w wychowanie młodego pokolenia.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila, czyli „poloneza czas zacząć!” W pięknie udekorowanej sali gimnastycznej zgromadzeni goście, rodzice i znajomi mogli podziwiać różne układy taneczne zaprezentowane przez wkraczającą w dorosłe życie młodzież. Tradycyjnie pierwszą parę poprowadził dyrektor Mirosław Adamek.

Symbolem naszej wdzięczności za wkład pracy włożony w kształcenie i wychowanie, za ofiarowaną nam pomoc i pokładane w nas zaufanie były kwiaty złożone przez delegację maturzystów na ręce dyrektora Zespołu Szkół oraz wychowawców klas maturalnych. W tym roku swoich wychowanków pożegnają: Agata Duda - kl. III LO, Aneta Gołyska - kl. III LP, Marta Kozieł - kl. V TEa, Ewa Gębora - kl. V TEB i Jerzy Nowak - kl. III TZ.

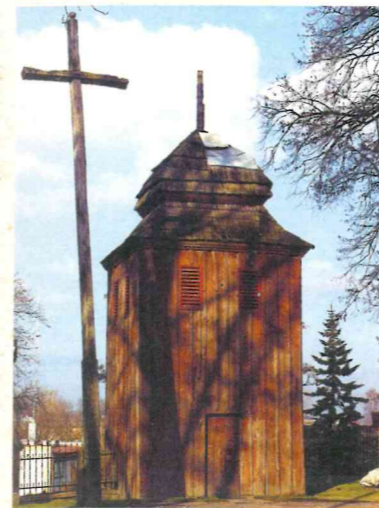
Po oficjalnych wystąpieniach maturzyści i goście zatańczyli walca, nie obyło się również bez symbolicznej lampki szampa. A potem rozpoczął się długo oczekiwany bal. W rytm wspianej muzyki, którą zapewnił nam zespół „Riva Band”, bawiliśmy się do samego rana. Nastroje dopisywały i raczej nikt nie myślał o tym, że za niecałe 100 dni matura. Niestety, wszystko co dobre, szybko się kończy. Teraz pozostaje nam jedynie nucić słowa piosenki:

„Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila...”

*Anna Jędrzejewska
uczennica kl. III LO
w Zespole Szkół w Ożarowie*



CMENTARZE W OŻAROWIE



Pisząc o cmentarzu rzymskokatolickim w Ożarowie, należy przypomnieć o dwóch nekropoliach. Starej i nowej. Pierwsza jest już cmentarzem nieczynnym od końca XIX wieku, ale nadal kryje kości kilkunastu pokoleń ożarowian. Nowy cmentarz czynny jest od pierwszych dziesiątków XIX wieku.

Cmentarz stary

Zajmuje powierzchnię około 1 hektara. Dawniej otaczał kościół, obejmując sakralną przestrzeń przylegającą do świątyni. Powstał zapewne wraz z budową pierwszego kościoła w Ożarowie, czyli w XVII w. Wtedy też mogły pojawić się pierwsze nagrobki kamienne, choć mogły powszechnie utrwalano drewnianymi krzyżami. W następnym stuleciu bogaci mieszkańcy parafii, szczególnie szlacheckiego pochodzenia, mogli fundować zmarłym okazalsze nagrobki. Z reguły jednak możliwych tego świata chowano w podziemiach kościołów, a na ścianach świątyni wmurowywano kamienne płyty – epitafia. Tak też było w Ożarowie, w starym drewnianym kościele, który został rozebrany pod koniec XIX w.

Na brzegu przykościelnego cmentarza stoi ciekawa, niestety przez ciągle malowanie i zatartą fakturą, figura przedstawiająca świętego Józefa i Dzieciątko. Jest to późnobarokowa rzeźba z kamienia janikowskiego (być może powstała w pracowni w Janikowie) z początku XVIII w., a więc okazuje się być najstarszym zachowanym w Ożarowie zabytkiem.

Zwyczaj utrwalania i ozdabiania kamiennymi nagrobkami rozpowszechnił się w Ożarowie dopiero w XIX w. Wtedy to na kościelnym wzgórzu pojawiło się kilkaset architektonicznych i rzeźbiarskich form nagrobkowych. Przetrwały do lat 90. XX w.



Cmentarz przykościelny - luty 1997 r.



Ukształtowanie cmentarza na wzgórzu stwarzało pewne niedogodności, ale dawało też wyraźną ekspozycję. Z oddalenia można było oglądać to niezwykle muzeum sztuki kamieniarskiej.

Oszczędne formy klasycystyczne mieszały się z wybujałymi koronkowymi nagrobkami neogotyckimi i charakterystycznymi „dąbczakami”, znamionującymi już romantyzm. Najwięcej jednak zachowało się form naturalistycznych i eklektycznych.

Obok pomników z piaskowca, charakterystycznego dla warsztatów ośrodka kunowskiego, najczęściej spotykało się wytworów z miejscowego wapienia, pochodzących z warsztatów okolicznych, często domorosłych kamieniarzy, zbliżających się do sztuki naiwnej i ludowej. Nie brakło też nagrobków z janikowskiego kręgu.

Niestety, ta niezwykła kamienna księga biograficzna ożarowian od XVII do XIX wieku znikła podczas ostatniej reorganizacji wzgórza kościelnego. Z dawnej substancji zabytkowej pozostało zaledwie kilka kamiennych nagrobków, które stoją poniżej kamiennej kaplicy rodziny Karskich z Wyszmontowa sąsiadującego z Ożarowem.



Cmentarz nowy

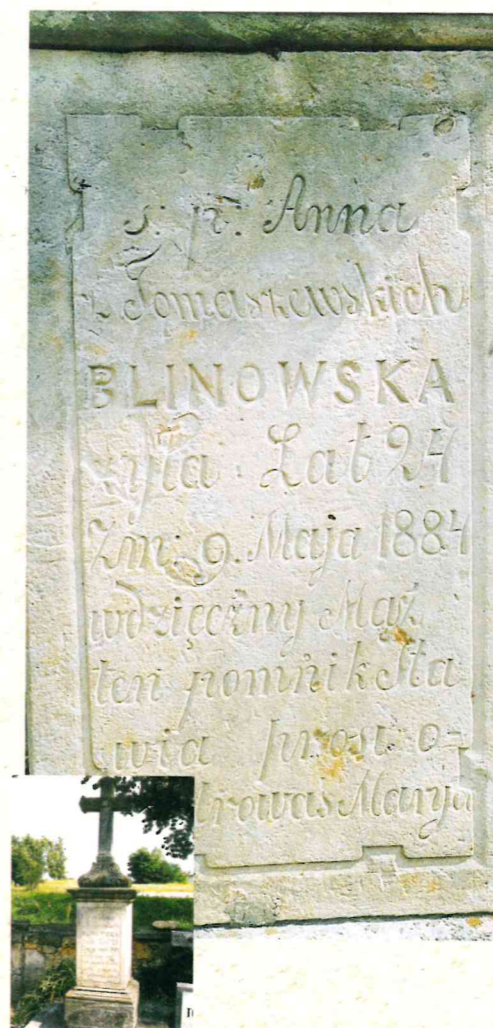
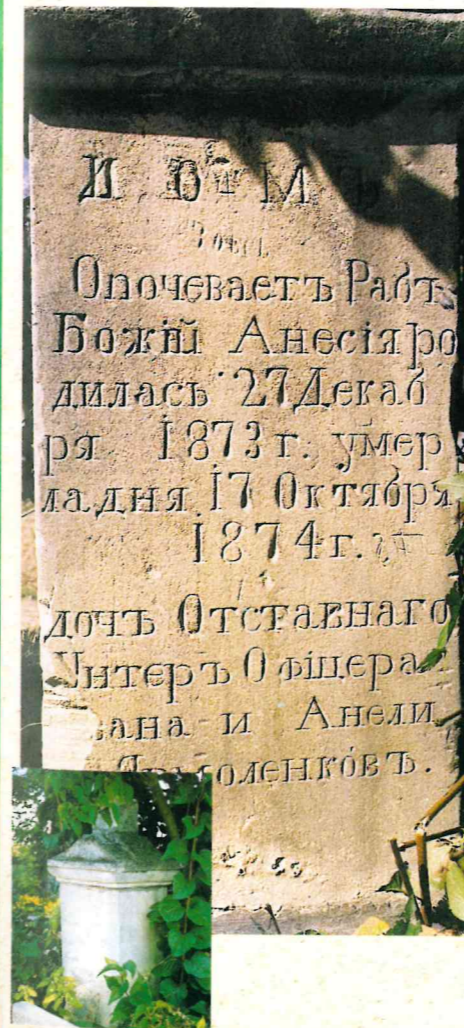
Od końca XVIII w. upowszechnił się w Polsce zwyczaj przenoszenia cmentarzy z terenów przykościelnych poza zwartą zabudowę miast. Podobnie w przypadkach, gdy wiejski kościół stał również w pobliżu zagrod. Zwyczaj ten wymuszony był zresztą zarządzeniem władz, a ono uwarunkowane zostało wymogami higienicznymi.

Jednak początkowo mieszkańcy parafii ożarowskiej niechętnie urządzali pochówki swoim bliskim w nowym miejscu. Dlatego też przez pewien czas równoległe pogrzeby odbywały się na obu nekropoliach.

Świadczyły o tym nagrobki kamienne, stylistycznie pochodzące z tego samego okresu. Klasycystyczne, a więc najstarsze w tym przypadku, pomniki stały przy kościele, jak też i na nowym cmentarzu, położonym obecnie przy ulicy Sandomierskiej.

Nowy cmentarz w Ożarowie zajmuje powierzchnię około 1 ha. Wypełnia przestrzeń na łagodnym wzgórzu, między ulicami Sandomierską a Partyzantów. Sąsiaduje z cmentarzem żydowskim. Częściowo otoczony jest murem z kamienia janikowskiego. Zabytkowe nagrobki zajmują przede wszystkim część przylegającą do ulicy Sandomierskiej. Schodząc w dół, w kierunku południowym, stare nagrobki ustępują miejsca nowym.

Mimo ciągłego uszczuplania substancji zabytkowej (wskutek świadomego usuwania podniszczonych pomników przez właścicieli kwater grobowych i samoniszczenia kamienia), nadal nowa nekropolia ożarowska ma około stu zabytkowych obiektów. Najstarsze z połowy XIX w. utrzymane są w stylu klasycystycznym i neogotyckim. Sporo obiektów przynależy do romantyzmu, symbolizmu i naturalizmu. Cechy stylistyczne niektórych nagrobków sugerują, że wyszły one z warsztatów janikowskich kamieniarzy: Roleckich i Dąbrowskich. Na kilku obiektach można znaleźć sygnatury konkretnych artystów, m.in.: B. Powidłowski vel B. Powideł, zespół Gustawa Wydrzyckiego, Stanisław i Piotr Dąbrowscy.



DALEJ DLA WAS ŚPIEWAMY

Chór istnieje od 1988 r., ale od 2004r. wiele się w nim zmieniło i wydarzyło. Dotychczas nosił nazwę Chór Nauczycielski. Od niedawna zmienił ją na B-TONICA.

Dużo osób odeszło z chóru, ale i nowych przybyło. Stawiamy na młodych i czekamy, aby powiększyli nasze grono. Śpiewamy pieśni muzyki poważnej, piosenki „lekkie”, biesiadne, pieśni patriotyczne i kościelne. Chór uczestniczył i nadal uczestniczy w krajowych imprezach artystycznych – w Ogólnopolskich Przeglądach Chórów Nauczycielskich. Występowaliśmy również w wielu miejscowościach, takich jak: Rzeszów, Łańcut, Krosno, Ostrów Wlkp., Mielec, Zamość, Sandomierz, Kazimierz Dolny, Opatów, Ćmielów, Krościenko, Ostrowiec Św. oraz oczywiście Ożarów. Należy też wymienić koncerty, np. z okazji finałów Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, z okazji 8 marca, Dni Ożarowa, 11 listopada, 4 grudnia (Barbórka).

Dzięki sponsorom z Urzędu Miasta i Gminy w Ożarowie, tj. burmistrzom, oraz dyrektorowi M-GOK w Ożarowie, chór B-TONICA realizuje swoje marzenia i plany. Możemy uczestniczyć w koncertach wyjazdowych, na które zostajemy zapraszani do innych Domów Kultury. Wyjazdy takie mają duże znaczenie dla nas, poznajemy bowiem inny repertuar, a przecież bez dojazdu nie mamy szans na pokazanie się i zaprezentowanie naszych osiągnięć. Muszę podkreślić, iż ostatni zakup (bluzki) to też dzięki sponsorom. Przy tej okazji dziękuję wszystkim Sponsorom, którzy wspierają naszą działalność.

Dyrygentem chóru jest od początku działalności Jerzy Sternicki – muzyk i aranżer. Píše on teksty, układa nuty, przygotowuje każdy repertuar skrupulatnie, aby nasze pieśni odzwierciedlały atmosferę danego koncertu. Chociaż jesteśmy chórem amatorskim, śpiewamy pieśni ambitne i wartościowe. Wykonujemy je na



cztery głosy: sopran, alty, tenory, basy. Bez MAESTRA chór B-TONICA by nie istniał. Dzięki przychylności dyrektora M-GOK chór ma stałe miejsce na próby i spotkania w Domu Kultury. Jest to placówka prężnie działająca. Każdy - jeśli chce - może tu coś dla siebie znaleźć.

Imprezy kulturalne dla chóru są wielkim przeżyciem. Jest to ciężka praca, sporo prób, a przy tym wiele godzin żmudnych ćwiczeń. Z tego tytułu chór otrzymuje różnego rodzaju nagrody i pochwały, co jest odzwierciedlone w Kronice Chóru, którą prowadzi prezes.

„Jakże sprawić trudno, aby inni widzieli i czuli w muzyce to, co my czujemy” (pisze poeta). Już od kilkunastu lat pracujemy na konto naszej tradycji. Dołączcie do nas, jeśli muzyka nie jest Wam obca.

Halina Wójcik

UDANE FERIE

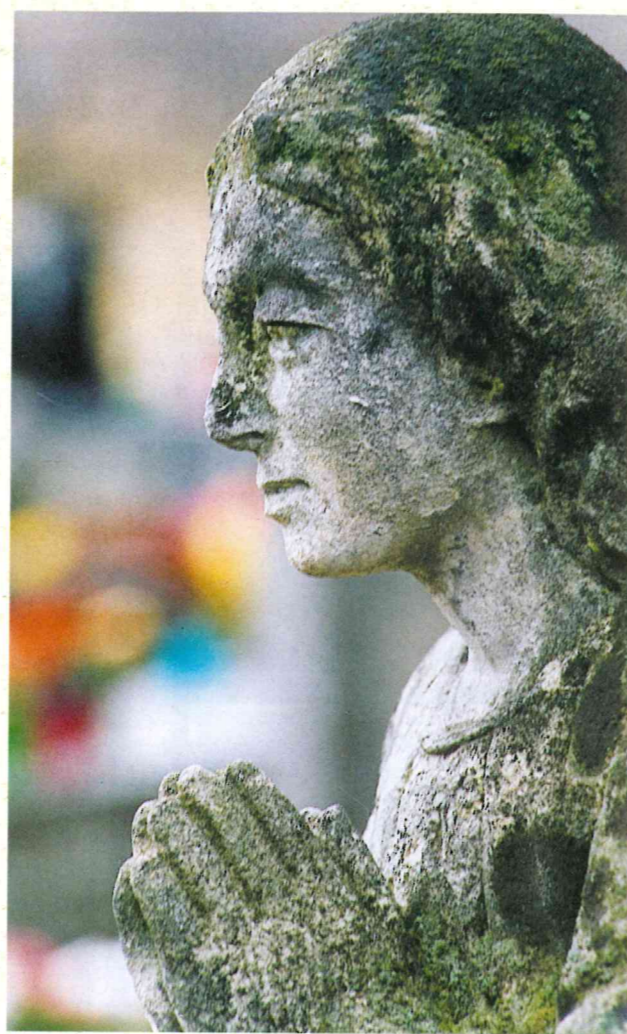
Jak co roku w okresie ferii zimowych Miejsko – Gminny Ośrodek Kultury przygotował bogatą ofertę imprez przeznaczonych dla wszystkich, którzy chcą ten czas spędzić czynnie, a nie z głową w komputerze i rękami na klawiaturze.

Ten jednak rok był niezwykły. A wszystko to za sprawą ogromnej liczby uczestników. Okazało się bowiem, że zanim jeszcze ferie się rozpoczęły, już pierwsi chętni przychodzili do Domu Kultury i pytali o to, jakie atrakcje szykujemy. Oczywiście absolutnym hitem okazał się kulg w Nowem. Od chwili ogłoszenia tej imprezy minęło 48 godzin i już był komplet! Z przykrością mówiliśmy, że niestety zabrakło miejsc. Ale również inne imprezy miały wielu uczestników, np. rzeźba śniegowa, projekcje bajek na DVD. Nie wspomnę już o projekcji kinowej filmu pt. „Rogate ranczo”, na które przyszło około 300 osób! Spóźnialscy musieli oglądać film na stojąco. Czego takiego chyba kino ożarowskie jeszcze nie przeżyło.

Najmłodszy oczywiście świetnie się bawili przy muzyce Rysia Kruka. Niektórzy zaś z dużym zainteresowaniem oglądali wystawę ptactwa ozdobnego. Dorośli też znaleźli coś dla siebie. Zorganizowaliśmy bowiem wyjazd do Teatru im. S. Żeromskiego w Kielcach na wyśmienity spektakl (dla dorosłych). Okazało się, że w Ożarowie jest całkiem spora grupa miłośników teatru!

Każdego dnia przez M-GOK przewijało się mnóstwo dzieci i młodzieży. Byli wśród nich stali bywalcy Domu Kultury, ale również i tacy, którzy przychodzą rzadziej lub wcale. Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy i zapraszamy nie tylko w ferie. Zaglątajcie do nas, pytajcie, podpowiadajcie nam, jakie formy działalności was interesują. Jesteśmy po to, aby zagospodarować wam wolny czas.

Beata Kobialka



Listy od Czytelników



Dzięki Bogu, że doczekałem tej chwili, iż mogę te parę zdań nadmienić na ten ważny temat historyczny. Czternastego lutego 1942 roku Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski przemianował organizację podziemną Związek Walki Zbrojnej na Armię Krajową, która z czasem stała się największą podziemną armią okupowanej Polski i nie tylko Polski. Armia Krajowa wiosną 1944 roku osiągnęła 380 tysięcy zaprzysiężonych żołnierzy. Duża liczba żołnierzy tego ugrupowania to synowie ziemi kieleckiej. Na czele AK stał gen. Stefan Rowecki „Grot”. Po jego aresztowaniu w czerwcu 1943 roku następcą został gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, po powstaniu warszawskim zastąpiony przez gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, skazanego

Z NAJNOWSZYCH ZAPISÓW HISTORII POLSKIEJ. - ARMIA KRAJOWA -

w Moskwie w procesie 16 przywódców polskiego podziemia. L. Okulicki, gen. AK, zmarł w sowieckim więzieniu. Celem AK, której byłem członkiem, było przygotowanie się do powstania powszechnego, w którym kraj przy pomocy polskich oddziałów z Zachodu i aliantów zostałby wyzwolony. Plany zmieniono, powodem była zbliżająca się armia sowiecka do naszych ziem. Kierownictwo AK zmuszone było to zmienić, względem sytuacji, jaka zaistniała. Rosjanie, mimo wielu pomocy od AK, po długim okresie czasu, nie udzielili pomocy powstańcom Warszawy. Żołnierze AK nie uznali Sowietów, zaczęło się rozbrajanie i aresztowania Polaków. Warszawa legła w gruzach, a niemal wszyscy dowódcy AK dostali się do niewoli. Armia Czerwona wraz z sowieckim aparatem policyjno-politycznym dokonywała masowych aresztowań. Żołnierze AK wywożono w głąb Rosji, osadzano w więzieniach. Wielu moich kolegów ukrywało się przez długi okres. W czasie wojny żołnierze AK przeprowa-

dzili dużo akcji bojowych na posterunki żandarmerii. Były uderzenia na transporty kolejowe, więzienia, zamachy na funkcjonariuszy hitlerowskich i wiele innych działań na szkodę niemiecką.

Niestety, z powodu zaistniałej sytuacji w kraju nie było możliwości dalszego działania i istnienia tak dużej liczebnie AK. Główny gen. L. Okulicki napisał: „Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą”.

Na koniec chcę przypomnieć, że żołnierze tej organizacji podziemnej stoczyli walkę na szosie Ożarów – Ostrowiec Św. z Niemcami. Zginęło kilku żołnierzy oraz gen. niemieckiej armii. Oddział partyzancki nie poniósł żadnych strat.

Szczeńć Boże!

Jan Ogonowski
(zachowano oryginalny styl wypowiedzi)

CZY ZMIENIĆ HERB OŻAROWA?

W kręgach regionalistów ożarowskich zrodziła się ostatnio dyskusja na temat herbu Ożarowa. Jest to nieco spóźniona dysputa, jako że heraldyka dziś dla wielu to temat zastępczy – przypomnę, iż po przemianach społeczno – politycznych 1989r. niektórzy próbowali się dobrać do herbów miast i regionów powstających w Polsce Ludowej. Wielu historyków zwierzyło w tym niezły interes. Powstało sporo komisji, organizacji, instytucji i placówek heraldycznych, których przedstawiciele chętnie świadczą chęć swoje usługi za sówitą opłatą. Oskarżają się przy tym wzajemnie o brak kompetencji historycznej i heraldycznej, walcząc o klienta. Stosują lobbiny w mediach, że tylko oni mają prawo do wyroku w tej kwestii. Nawet odbierają go samorządowcom do stanowienia o plastycznym znaku dla miasta czy gminy.

A z herbami jest tak jak ze wszystkim w życiu. Zmieniają się z czasem, ulegają modzie, nowym potrzebom. Skrajni strażnicy tradycji chcą utrzymać średniowieczną, dziś najczęściej niezrozumiałą,

symbolikę. Plastycy i zwolennicy nowoczesności uważają, że dziś nie herb jest potrzebny, lecz logo, które skrótem plastycznym powinno najtrafniej oddać charakter miasta czy gminy (wieś nie ma prawa do herbu). Choć dziś heraldyka nie ma takiego znaczenia jak dawniej, a nawet przy nadmiernych tęsknotach herbowych staje się obiektem ironicznych uwag, docinków etc., to wciąż wzbudza namiętne, acz jałowe, dyskusje.

Nowocześnie myślące społeczności lokalne – poza Polską – nie zwracają sobie głowy przeszłością, lecz wymyślają nowe znaki plastyczne, które w wielkim skrócie mają przedstawić specyfikę danej miejscowości lub regionu. Zamiast więc tradycyjnej tarczy herbowej – z niezrozumiałym dla współczesnych symbolem graficznym – widnieje współcześnie namalowany znak, który ma być charakterystycznym obrazkiem pozwalającym rozpoznać kawałek świata.

My jesteśmy jednak wierni tradycyjnej heraldyce, lecz Ożarów nie powinien mieć takich problemów, jako że od 1569 roku (kiedy to był lokowany na „suro-

wym korzeniu”, staraniem Józefa Ożarowskiego) przedstawia się herbem Rawicz, który mu użyczył właśnie pierwszy jego właściciel, pieczętujący się tym znakiem. Choć Rawicz wskazuje na męski charakter, to w jego wizerunku widzimy ukoronowaną pannę w czerwonej sukni, siedzącą na czarnym, krocącym niedźwiedziu. Na najstarszym zachowanym odcisku pieczęci miejskiej z datą „1655” widzimy taki też znak graficzny. W heraldyce podobny herb miejski nazywa się użyczonem. Czyli, pisząc w uproszczeniu, Ożarowski pożyczył go miastu. W pełnej krasie Rawicz jako herb rycerski jest plastycznie znacznie bogatszy od uproszczonego miejskiego. Jednak rzecz w tym, że Rawicz jest popularnym herbem, że i pieczętuje się nim sporo rodów, a co za tym idzie kilkanaście miejscowości w Polsce. Poza tym „panna na niedźwiedziu” występuje w innych konfiguracjach herbowych. Dlatego też niektórzy regionaliści ożarowscy wyszli z propozycją zmiany herbu. A co o tym sądzą nasi Czytelnicy? Prosimy o wypowiedzi.

Józef Myjak

Epizody historyczne
z Ożarowszczyzny

REKIETOWY DÓŁ

W lesie przylegającym do szosy w Szymanówce, którą dziś pędzą z Kielc do Lublina (i na odwrót) samochody, zagubiła się zbiorowa mogiła z czasów okupacji hitlerowskiej. Zagubiła się też o niej pamięć. Oszczędny napis na nagrobku nie wyjaśnia ponurej tragedii, którą kryje grób. Na nic się zdały rozpytywania wśród miejscowych o mocno posiwiałych skroniach. Jenostęp wspomnienia wywołany pytaniem: co i kiedy to się stało?



„A hitlerowcy przywieźli tu takich z Ostrowca czy też z Sandomierza i rozstrzelali. Ale kto by tam wtedy do lasu chodził”.

Opisując Szymanówkę w dawnym numerze „Ożarowa”, równie lapidarną podałem o tym wydarzeniu informację. Teraz mogę dodać znacznie więcej danych, a to dzięki spotkaniu z 87-letnim Sewerynem Małkiewiczem z Gór Wysokich, którego wspomnianą książkę pt. „Młynarz” na tych łamach recenzowałem. Podczas rozmowy ten znany w Sandomierskiem działacz kombatancki, który niemal całą okupację spędził w obozie koncentracyjnym, przypomniał dramatyczne wydarzenia z sandomierskiego więzienia, w jakim przez pewien czas siedział przed wywiezieniem do obozu śmierci.

Działo się to wiosną 1940 r. Pewnego czerwcowego dnia Seweryn Małkiewicz, siedzący na trzecim piętrze i zarazem na trzecim oddziale, usłyszał z cichego zazwyczaj dziedzińca więziennego głośnie odgłosy. Chcąc zorientować się w sytuacji, wskoczył na szeroki parapet zamkowego okna – oczywiście jak to w takich obiektach niewielkiego – i wyciągnął przez kratę rękę z kieszonkowym lusterkiem skierowanym w dół. Dzięki temu zabiegowi mógł obserwować to, co się działo na dole. Towarzyszył mu kolega z celi, Antoni Czerwiński, były zarządca majątku Antoniego Łempickiego w Słupcy. Dziś można bez strachu obejrzeć bez przeszkód te grube mury i szerokie parapety, gdyż w zamku sandomierskim mieści się muzeum. Szkoda, że w zabiegach o utrwalenie historii tego miejsca zapomniano umieścić choćby skromną tablicę, która utrwalałaby to miejsce kaźni polskich patriotów z Sandomierszczyzny.

Ale wracajmy do wspomnień Małkiewicza... Cóż takiego dostrzegł w lusterku? Esesmani, czyli najokrutniejsi policjanci niemieckiego okupanta, zaczęli wyprowadzać więźniów z zamku na plac i łączyć w kilkunastoosobowe grupki. Dostrzegł więc mój rozmówca współtowarzyszy niedoli. Wśród nich nieznanymi mieszkańcami Ostrowca Świętokrzyskiego, a także 55 mieszkańcami wsi Beszyce oraz znajomymi z Dwikozów. W grupie tej był też jego kolega z Ostrowca Św., Kosut, który na pytanie: za co cię aresztowali? – odpowiedział: „Za nic, przypadkowo, ale tak mnie mocno na przesłuchaniu bili, że z bólu dla świętego spokoju powiedziałem tym oprawcom, że byłem partyzantem”.

Seweryn Małkiewicz dostrzegł również w lusterku młodego Leona Krakowiaka, który pracował w jego młynie, Tomasza Brodę, prezesa spółdzielni gminnej w Dwikozach, młodego Puziego (syna kapitana Wojska Polskiego zamordowanego w Katyniu), który organizował oddział partyzancki.



Zamek sandomierski z czasów gdy był więzieniem.

Do okupantów doniosła na niego jedna z mieszkanek Dwikozów. Aresztowali kilku młodych ludzi z tego młodego wojska. W sumie Małkiewicz naliczył 117 więźniów tego dnia wyprowadzonych z cel. Podzielono ich na dwie grupy. Do pierwszej z nich podjechały dwie ciężarówki, charakterystyczne budy. Esesmani załadowali do nich ludzi i samochody odjechały z zamkowego placu przez bramę w tzw. rogalu, nieistniejącego dziś niższego budynku, półkolistą zamykającą więzienie. „Myśleliśmy wtedy, że to transport, że wywożą ich do obozu” – wspomina Seweryn Małkiewicz.

Jednak gdy ciężarówki po kilku godzinach wróciły, sędziwy młynarz znowu wystawił lusterko żeby śledzić bieg wydarzeń. Poczul wtedy niepokój. Otóż z bud samochodów wyskoczyli esesmani z łopatami oblepionymi świeżą i wilgotną ziemią. „O cholera, nie do transportu wysłali, a do ziemi” – powiedział wtedy Małkiewicz do Czerwińskiego.

Niemcy tymczasem załadowali na ciężarówkę drugą i ostatnią partię więźniów, i wywieźli w nieznaną. W miesiąc później w podobny sposób wywieźli z sandomierskiego więzienia Seweryna Małkiewicza, uczestnika konspiracji. Z duszą na ramieniu wsiadł do ciężarówki. Miał jednak więcej „szczęścia”. Nie trafił do ziemi, ale do obozu koncentracyjnego, gdzie znośił upokorzenia, tortury, bicie, głód, strach przez prawie pięć lat. Przeżył piekło i wrócił. Od matki, już po wojnie, dowiedział się, że tych 117 nieszczęśników esesmani rozstrzelali 17 czerwca w dwóch miejscach naszego regionu: w Lesie Górskim, czyli Górach Wysokich (gm. Dwikozy) i w Rekiętowym Dole w Szymanówce (gm. Ożarów). Do dziś dokładnie nie wiadomo, gdzie i ilu leży – twierdzi Seweryn Małkiewicz. Nie jest też znana pełna lista zamordowanych.

Józef Myjak



Mogiła w lesie w Szymanówce



Herb Rawicz
wizji artysty
plastyka Heleny
Pisuli



Herb Ożarowa
z odcisku pieczęci
z 1655 roku



Herb własny
wg Teodora
Chrzęńskiego
z 1847 roku
(za Kaziemierzem
Głowackim)

NA PARNASIE W SZÓSTEJ KLASIE

POLSKA I POLACY – pierwszy rok, pierwszy krok w Europie – pod takim hasłem odbyła się kolejna edycja Konkursu Humanistycznego „Na Parnasie w szóstej klasie”, do którego mogli przystąpić szóstoklasiści, którzy przejawiają szczególne uzdolnienia i zainteresowania humanistyczne.

Konkurs przebiegał w kilku etapach: eliminacje wewnątrzszkolne, eliminacje międzygminne (test) oraz rejonowe. Do II (rejonowego) etapu, który odbył się w Opatowie, zakwalifikowali się następujący uczniowie: Weronika Dziewirz (kl. VI b), Weronika Chrapczyńska (kl. VI b), Paulina Siejka (kl. VI a), Adrian Rejowski (kl. VI c). Zadaniem uczniów było zredagowanie (co najmniej dwóch stron formatu A4) wypowiedzi na jeden z pięciu tematów zaproponowanych przez

Wojewódzką Komisję Konkursu Humanistycznego. A trzeba przyznać, że tematy, jak dla szóstoklasisty, były dosyć trudne. Przeważały tematy o Unii Europejskiej.

A oto wypowiedzi uczestników oceniające stopień trudności konkursowych zagadnień:

„Emocje przed samym konkursem były ogromne. Serce biło mi jak opętane. Niepotrzebnie. W pierwszej chwili, gdy dostałam kartkę z tematami, przestraszyłam się, że żaden nie będzie mi odpowiadał. Po chwili namysłu wybrałam temat: *Ten zakątek Polski ma szansę stać się atrakcją turystyczną Europy*. Ten temat przypadł mi do serca. Kiedy oddałam kartkę, napięcie opadło. Szczęśliwa i zadowolona wróciłam do domu” (Paulina Siejka).

„To był mój pierwszy konkurs rejonowy i przyznam szczerze, że byłem trochę

zestresowany. Zobaczywszy tematy, uspokoiłem się i wybrałem jeden z nich, który najbardziej mi odpowiadał. Obawiałem się, że nie zajmę dobrego miejsca, lecz nie taki diabeł straszny, jak go malują – znalazłem się w pierwszej dziesiątce” (Adrian Rejowski).

„Uważam, że konkurs był ciekawy, a zarazem trudny. Dzięki kolejnym zmaganiom nabrałam doświadczenia w pisaniu oraz zwalczyłam strach, który ogarniał mnie przed każdym konkursem” (Weronika Chrapczyńska).

Sukcesem zakończył się udział w konkursie uczennicy Weroniki Dziewirz, która zakwalifikowała się do III (wojewódzkiego) etapu. Przed nią więc dużo pracy, ale i nowe wyzwanie. Trzymamy kciuki i życzymy powodzenia!

Ewa Kania

WIZYTA U BOREJKÓW

Jadąc na II etap konkursu, bardzo bałam się, że nie będę w stanie napisać na żaden temat, a już na pewno nie dwie strony A4. Jednak ku mojej radości wśród pięciu bardzo ambitnych i trudnych tematów znalazł się jeden, na który naprawdę mogłam się rozpisnąć – „Warto poznać twórczość tego pisarza europejskiego - napisz w tej sprawie list do działu literackiego czasopisma młodzieżowego”.

Zamiłowanie do książek mam chyba wrodzone, więc był to najlepszy temat, jaki mógł mi się trafić. Co do wyboru autora i jego twórczości nie miałam wątpliwości – Małgorzata Musierowicz. Dlaczego akurat ona?

Na trop jej książek trafiłam przez przypadek. Przeczytałam artykuł o tych wspaniałych powieściach w pewnej gazecie i postanowiłam sobie wypożyczyć jedną z części „Jeżycjady” – serii uroczych książek o rodzinie Borejków, ich bliskich, ich życiu i problemach, z którymi się stykają. To był początek mojej wielkiej miłości zarówno do tego cyklu, jak i do samej autorki, której wspaniałe poczucie humoru, ciepło i optymizm przejawiają się w każdym zdaniu jej powieści. Mam wszystkie części „Jeżycjady”, większość tomów czytałam kilkakrotnie i wciąż z wielką chęcią do nich wracam. Za każdym razem odnajduję w nich coś nowego i coraz częściej identyfikuję się z uczuciami bohaterów.

Borejkowie to – zdawałoby się – zwyczajna, niezamożna rodzina mieszkająca w starej przedwojennej kamienicy w Jeżycach, dzielnicy Poznania, od której pochodzi nazwa serii. Jednak już po przeczytaniu kilku

rozdziałów okazuje się, że niezwykle poczucie humoru, wpajane od małego zasady życiowe, zaradność i - przede wszystkim - ta niezwykła więź łącząca wszystkich członków rodziny tworzą z Borejków nieprzeciętne postacie, do których nazwa „zwykła rodzina” zupełnie nie pasuje. Jest to jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że „Jeżycjada” znacznie wyróżnia się spośród innych książek o podobnej tematyce.

Akcja powieści rozgrywa się od lat 70. ubiegłego wieku, poprzez lata 80., 90., aż do dnia dzisiejszego. Dlatego przez karty powieści przewinęło się mnóstwo postaci i bohaterów, a barwna osobowość i niezwykle cechy każdego z nich sprawiają, że o każdym można by napisać osobny tom. Senior rodu – Ignacy Borejko – to poważny, szanowany filolog klasyczny i bibliotekoznawca. Jego żona, Mila Borejko, tłumaczyła książki z greki i łaciny. Była bardzo silną i twardą osobą, ale przede wszystkim ciepłą, wyrozumiałą kobietą. Każda z ich czterech córek była inna, a jedyne, co je łączyło, to miłość do książek i sióstr. Gabrysia była podobna do matki – silna i zdyscyplinowana, życie nie oszczędzało jej rozczarowań i trosk, jednak najstarsza Borejkówna radziła sobie

ze wszystkim. Ida była „biednym, zakompleksionym stworzonkiem”, czuła się niezauważana i niedoceniana. Natalia, nazywana Nutrią, to delikatna poetka o wrażliwej duszy, a najmłodsza Partycja – nazywana przez rodzinę Pulpecją przez swój apetyt i okrągłe kształty – odznaczała się niezachwianą pewnością siebie i optymizmem. Wszystkie z nich dorastają „na naszych oczach”, z czasem same zakładają rodziny i mają własne dzieci. Jednak żadna z nich nie mogła na stałe rozstać się z domem, który był prawdziwą oazą spokoju i każdy przyznawał, że panowała w nim niezwykła, ciepła atmosfera.

Co więc jest takiego osobliwego w tych książkach, że podbiły serca wielu czytelników zarówno w kraju, jak i poza jego granicami? Może to, że jako nieliczne pokazują wartość, szczerą, kochającą się rodziny. Może to, że pozwalają spojrzeć na codzienne problemy z zupełnie innej strony. A może to trafne sentencje łacińskie, którymi śpią bohaterowie? Jedno jest pewne – czytając „Jeżycjadę”, po prostu nie sposób się nie śmiać. W przezabawny sposób ukazuje ona zwyczajną, „szarą” rzeczywistość. To wspaniałe lekarstwo na zły humor. Gorąco polecam je każdemu!

A temat ten najwyraźniej okazał się strzałem w dziesiątkę – dostałam się do kolejnego etapu. To dla mnie wielkie osiągnięcie i jestem z tego bardzo dumna.

Weronika Dziewirz

ZARADNOŚĆ

W dawnej kulturze ludowej, a także w czasach naszych dziadków, zaradność była najbardziej pożądaną cechą. Nie tak dawno jeszcze w rankingu zalet młodej kobiety na wydaniu, zaradność wyprzedzała urodę i plasowała się na pierwszym miejscu. Nawet zamożność w rodzinach chłopskich ustępowała przed zaradnością.

Dziś zaradność niektórym kojarzy się z cwaniactwem. Ale to bardzo powierzchowne porównanie, o czym dawniej ludzie znakomicie wiedzieli i precyzyjnie potrafili trafnie zastosować ten termin. Jednoznacznie był kojarzony z pozytywną stroną osobowości.

Dla młodszych czytelników kilka zdań wyjaśnienia. Dlaczego zaradny człowiek, a szczególnie zaradna żona była skarbem dla rodziny, domu czy społeczeństwa? Pisząc najkrócej, zaradna to taka, która potrafiła zrobić coś z niczego – jak mówią do dziś w okolicach Glinian. Nawet w biednych, zaradna gospodyni była wielce pożądaną postacią. Z niewielkich zasobów potrafiła ugotować smaczną strawę, obszyć rodzinę, hodować nie tylko krowy i świnie, ale całą niemal gospodarską menażerię. Wśród kur, indyków, gęsi, kaczek nawet trafiał się paw i przepiórki. Obok domu zaradna gospodyni miała ogródek warzywny, a w zimie na oknie doniczki z zieleniną. Potrafiła nasadzić kwokę na jaja i wyhodować własne kurczęta, a także gąsienią i indyczki. Zaradna kobieta nie tylko zamykała się we własnych oplotkach, ale potrafiła dostrzec starą, samotną sąsiadkę i ją wesprzeć pomocą. U tej zaradnej dom zawsze był czysty. Podobnie jak podwórko. Pod oknami w ogródku w lecie kwitły kwiaty.

Piszę o tym w zasadzie w czasie przeszłym. Otóż nie tak dawno jedna z mieszkanki Glinian powiedziała mi, że bardzo ją dziwi fakt, iż niektóre dzieci w gminie Ozarów i sąsiedniej Zawichost przychodzą do szkoły głodne i gorący posiłek w tej placówce oświatowej jest dla nich najprzyjemniejszą chwilą dnia. Dzieci te nawet niechętnie idą na ferie, bo na kilkanaście dni tracą gorącą strawę. Moja rozmówczyni stwierdziła, że dziś to nie sprawa biedy, a zwykłego nieróbstwa, lenistwa, braku zaradności niektórych młodszych żon i matek. Udowodniła konkretną symulację kosztów, że zaradna gospodyni potrafi ugotować posiłek bardzo tanim kosztem. Dosłownie ugotować zupełnie na gorąco. „– Ale panie – ciągnęła wypowiedź moja rozmówczyni – te młode teraz takie nieodporne na biedę, niezaradne. Tylko narzekają i płaczą. A przecież jak się ma młode i zdrowe ręce, nogi i trochę rozumu w głowie, to teraz jest u nas Ameryka. Przecież dawniej gorzej bywało, przednówek niejednemu na polnych piaskach dał się we znaki. A we front i po froncie to lepiej nie wspominać. Teraz wystarczy jechać na zieloną giełdę do Sandomierza i za kilkanaście złotych przywieźć worek kapusty, cebuli, ziemniaków i z tego gotować wiele dań... – Ale kto te młode ma nauczyć zaradności?! To się

Podczas ferii zimowych grupa młodzieży z Miejsko – Gminnego Ośrodka Kultury w Ozarowie uczestniczyła w niezwykle interesującym spotkaniu, które odbyło się w Jakubowicach w domu państwa Henryki i Henryka Gorajów.

Gospodarze przyjęli młodzież niezwykle gościnnie. Opowiadali o swoich podróżach do Australii, pokazali zdjęcia i filmy wideo z ciekawych wycieczek. Uczestnicy mieli również możliwość obejrzenia egzotycznych okazów zasuszonych roślin, jakie udało się przywieźć z tego odległego zakątka świata. Młodzież zadawała mnóstwo pytań, na które gospodarze cierpliwie odpowiadali.

A ponieważ zbliżają się święta Wielkanocne i pani Henryka zaczęła już przygotowywać ozdoby świąteczne - wspaniałe, bajecznie kolorowe palmy - więc młodzież mogła je również podziwiać.

W tej niezwykle miłej atmosferze upłynęło nam kilka przedpołudniowych godzin. Dziękując za zaproszenie, mamy nadzieję na kolejne spotkanie z panią Henryką i jej mężem, bowiem nic tak nie łączy pokoleń, jak wspólne rozmowy.

Beata Kobińska



wynosi z domu. Szkoła też nie uczy tego. Młode się boją pracy i dlatego się nie żenią. O wszystko lecają do władz...”

Trudno się zgodzić z tą prostą, ale niepozabawioną racją opinii. Faktycznie w dawnych piosenkach ludowych i folklorze nie brakuje wątków o zaradności. Do 1989 r. właściwie problem biedy oficjalnie w Polsce nie istniał. Po przemianach stał się dyżurnym tematem w mediach, a w życiu obrósł setkami instytucji i placówek opiekuńczych, pomocowych, charytatywnych. Oficjalnie bezrobocie osiągnęło gigantyczne rozmiary. Aż dziwne, że Polska się do tej pory nie zawałiła... Na szczęście u nas jest jeszcze sporo zaradnych, szczególnie na wsi, wśród starszego pokolenia. Ale dorastają nowe, bezradne generacje, których problemów życiowych nie rozwiąże doraźna pomoc charytatywna. Pasywność, bierność, lenistwo, „żądaniowość” to wrogowie zaradności. Film czy artykuł o biedzie lub niezaradności jest wyżej ceniony niż film o człowieku zaradnym, dzielnym, pracowitym, pomysłowym...

Józef

GOŚCINNE JAKUBOWICKIE PROGI



Z ożarowskich legend

BIEDRZYCHÓW OD BIEDRZEŃCA

Nadchodził wczesny zmierzch późnopoziomego, chłodnego już dnia. Czerwona tarcza słońca chowała się gdzieś za Janowem. Na gościńcu wiodącym od Zawichostu pojawił się spóźniony wędrowiec. Z prawego ramienia zwisła mu czymś wypełniona płótnianka. Nieznany człek pomagał sobie w marszu sękatym kijem, wielce już wysłużonym. Zapewne przybysz niejedną dzionkę spędził w drodze. W jego ruchach było widać zmęczenie. Gdy przechodził obok chaty młodego Piskora, co to w Przerii żadnej rybce nie przepuścił, oparł się nawet o chruściany płot. Rybak, widząc nieznanego przybysza, rzekł do niego:

– Chyba z daleka was wiedzie droga, skoro na płocie szukacie pomocy.

– Oj, dobry człowieku, świt mnie wygnał w Zawichoście. A wiek już nie ten do dalekich wędrówek i siły mnie opuszczają.

– No to chodźcie do mnie - zaproponował Piskor.

Przybysz z wdzięcznością przyjął zaproszenie i już prawie w ciemnościach wszedł do chaty rybaka. Znalazł w niej nie tylko skromne poślanie na grochowinach w rogu izby, ale również miskę gorącej stawy. Smacznej zupy rybnej, którą znakomicie przyrządzała zaradna Piskorowa.

Nazajutrz po sutym śniadaniu nieznanemu przybysz postanowił ruszyć w dalszą drogę. Podziękował gospodarzom za gościnę i już był na gościńcu, ale coś go zatrzymało. Jakby sobie przypomniał, że samo „dziękuję” za tak miłe przyjęcie nie wystarczy. Odwrócił się do stojących w furcie Piskorów, prawą rękę wsadził do lnianej torby i wyjął z niej garść nasion. Wyciągnął rękę w stronę rybakowej i rozkazał:

- Nadstawcie zapaskę.

Gdy ta odruchowo rozpostarła płócienkę, nieznanemu przybysz otwarł palce i nasiona zsunęły się na zapaskę.

- Zasiejcie se na wiosnę to ziarno. A nie pożałujecie. Da wam zdrowie i miłe zapachy. A i na targu w Zawichoście, w Sandomierzu czy Opatowie będziecie mogli sprzedać. Roślina ta nazywa się Biedrzeńca.

Powiedziawszy te słowa, ruszył w stronę Nowego. Zdumieni Piskorowie nawet nie zdążyli zapytać o imię gościa, który zginął za zakrętem drogi, gdzieś na wysokości Grodziska

Na wiosnę Piskor postanowił zasiał otrzymane nasiona, choć nie miał zbytnio przekonania do tej nowości. Z łowienia ryb trudno jednak było wyżyć, więc dodatkowy dochód w ubogiej osadzie rybackiej przyda się.

Nowa roślina ładnie wyrosła i obficie zaplonowała. Łupkowate owoce na wielu baldachach wydzielaly przyjemną woń. Zbiór był spory, więc Piskor część nasion zostawił sobie do użytku domowego, a z pozostałą wybrał się na targ do Opatowa. Tam, gdy tylko wystawił swój towar, zbiegli się pejsaci kupcy. Żydzi opatowscy z wyraźnym zadowoleniem pochylali się nad dorodnymi nasionami. Rybak słyszał w tym rejwachu tylko strzępy nieznanego mu słów: anyż anyżek, anisium. Wreszcie jeden z nich wcisnął mu w dłoń kilka miedzianych monet i zabrał nasiona. Zachęcił przy tym, że jak przyniesie następną porcję, to on też weźmie nasiona. Dla Piskora była to niezła lekcja, choć w odległym Opatowie.

Na wiosnę zasiał zostawioną w komorze porcję biedrzeńca, a otrzymane jeszcze większe plony znów sprzedał korzystnie na targu w Opatowie. Rybackiej rodzinie zaczęło się lepiej powodzić. Sąsiedzi dziwili się z tej rosnącej zamożności w ubogiej rodzinie Piskorów. Pytali rybaka:

- Czyś ty w Przerii złapał złotą rybkę?

Zadowolony Piskor brał z worka garść anyżowych owoców i śmiejąc się, pokazywał współmieszkańcom rybackiej osady:

- To jest moja złota rybka.

Za przykładem Piskora poszli inni. I po kilku latach osada zaczęła sływać z uprawy tej rośliny. Na pamiętkę obecności nieznanego przybysza, który wsi przyniósł dobrobyt, nazwali ją Biedrzychów, jako że nie znali jego imienia, ale pamiętali, iż przyniósł nasiona biedrzeńca.

Tyle legenda. A jak się mają do tego fakty? Marian Sus, biedrzychowski ptak, znalazł na łąkach tej wsi sporo okazów biedrzeńca.

Systematyka roślinna wyróżnia rodzaj Biedrzeńca, po łacinie zwany wdzięcznie Pimpinella z rodziny baldaszkowatych (W. Szafer, „Rośliny polskie” PWN 1953). W nim zaś kilka gatunków. Najważniejszy z nich to Biedrzeńca anyż (Pimpinella anisum), bardzo znany w sta-

ropolskich czasach pod nazwą anyżu. Roślina o dużym znaczeniu gospodarczym i handlowym w Sandomierskiem, o czym świadczą statystyki komór celnych, przez które kupcy ten towar wywozili.

Anyżu używano jako wszechstronnego lekarstwa na wiele dolegliwości (trawiennych, oddechowych), a także jako przyprawy do aromatyzowania wódek i likierów. Biedrzeńca w sianie wpływa też dodatnio na poprawę mleczności krów.

Mamy Biedrzeńca wielkiego, mniejszego i wspomnianego anyżowego, który uprawiany był ongiś powszechnie, a dziś stał się formą zdziczałą i rośnie też na biedrzychowskich polaciach.

Józef Myjak

DBAJĄ O PAMIĄTKI PRZESZŁOŚCI

Z inicjatywy Anny i Roberta Jagodzińskich z Nowego została uratowana zabytkowa figura przydrożna. Kamienny krzyż, jakich wiele spotyka się na Ożarowszczyźnie, tkwił od dziesiątków lat przy lokalnej drodze, prowadzącej z Nowego do Słupi Nadbrzeżnej. W wyniku gruntownej modernizacji tej ważnej już dla ruchu w regionie drogi, krzyż uległ przechyleniu z powodu poszerzenia pasa drogowego i groziło mu przewrócenie, gdyż naruszona została podstawa pomnika.

Do prac ratowniczych włączyli się też inni mieszkańcy Nowego. Zbiórka pieniędzy pozwoliła na sfinansowanie prac zabezpieczających. W ten sposób przydrożny znak historii nadal będzie tkwił w krajobrazie i cieszył oczy wrażliwych podróżnych, a także wzbudzał zainteresowanie turystów.

Takie spontaniczne akcje, wyrosłe na lokalnym gruncie, są pożyteczne i godne naśladowania. A piszemy o tym dlatego, że do zrobienia jest jeszcze dużo. Na zabezpieczenia, remonty, naprawy czeka sporo przydrożnych figur.

Pamiętajmy, że kamienie też umierają...

J.M. - PAIR

FIZJOGRAFIA SENTYMENTALNA

Jak wyglądają dzisiejsze Prusy, aktualni mieszkańcy tej wioski doskonale wiedzą, a przede wszystkim widzą. To samo można odnieść do tych osób, które się stąd wywodzą, ale mieszkają już poza rodzinną wioską i z różnych powodów odwiedzają ją. Wśród jednych i drugich są tacy, którzy mają w pamięci utrwalony jeszcze inny – jakże różniący się od obecnego-obraz rodzinnej wsi. Lata pięćdziesiąte czy sześćdziesiąte ubiegłego wieku pamięta liczne pokolenie wieku średniego. Ja właśnie należę do tego pokolenia, które przechowuje w pamięci dawny obraz wsi rodzinnej – Prus. Myślę, że jesteśmy bogatsi duchowo, bo potrafimy odtworzyć wieś okresu dzieciństwa i młodości, z jakże innymi przejawami tamtejszego życia, które wspominamy z sentymentem.

Jednak najwięcej do powiedzenia ma w tej dziedzinie najstarsze pokolenie mieszkańców mojej wioski. Niestety, bardzo już nieliczne. Do tych najstarszych mieszkańców należy moja mama, Emilia Stec. Często wspominając odległą przeszłość, lata swego dzieciństwa i młodości, ukazała mi obraz Prus międzywojennych. Jeszcze systematycznie powracam do moich Prus i jeżeli tam się znajdę, próbuję niieraz oczyma wyobraźni odtworzyć tamte, jakże inne obrazy.

Dziś jest to wioska, której zasadniczą część składa się z zabudowy biegnącej wzdłuż głównego, starego traktu na osi Przybysławice – Pisary. Jednak spora jej część jest „rozrzucana” na pagórkowatej, dużej przestrzeni we wszystkich kierunkach, poprzecinana wieloma dojazdowymi drogami.

A jak wyglądały Prusy w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku? Spróbujmy uruchomić naszą mniej lub bardziej bujną wyobraźnię i odbyć spacer po wiosce okresu międzywojennego. Obiecuję, nie będzie to długi spacer.

Wędrówkę rozpoczynamy od strony Przybysławic. Tu, gdzie dziś jest gospodarstwo p. Bęczkowskich, stał wiatrak należący do p. Tańczyków, obok niego był jeden budynek mieszkalno-gospodarczy właścicieli wiatraka. Tutaj właśnie rozpoczynały się Prusy, które ciągnęły się wzdłuż drogi w kierunku Pisar. Domostwa stały po obu stronach drogi, w bardziej lub mniej zwartej zabudowie. Wieś kończyła się w miejscu, gdzie dziś znajduje się gospodarstwo p. Siwków. Oprócz tego ciągu wsi istniał jeszcze folwark, usytuowany powyżej istniejącej do chwili obecnej sadzawki. Składał się z trzech długich „czworaków”, które należały do majątku Leona Baczyńskiego, właściciela Pisar.

I to były całe Pisary do lat 1929-1930. Dodajmy sobie jeszcze obraz gospodarstw, które składały się z chat i budynków drewnianych, krytych strzechą, ciągnących się wzdłuż wyboistej, nieutwardzonej drogi. Tylko pojedyncze budynki były murowane i kryte dachówką. Oczywiście murowane były też czworaki należące do folwarku.

Myślę, że Czytelnik, a mam tu na uwadze przede wszystkim mieszkańców Prus, łatwo sobie wyobrazi ten widok. Zatrzymajmy go trochę w pamięci, gdyż „zajdzie tu zmiana w scenach naszego widzenia”. Mianowicie w latach 1929-30 następuje ważny proces tzw. komasacji, czyli scalenia gruntów rolnych. Do tego okresu właściciele pól mieli je w paru kawałkach, nieraz w znacznej odległości od siebie. Takie rozdrobnienie i odległość utrudniały prace rolne, dokonano więc scalenia ich w większe obszary. Oczywiście proces ten pociągnął za sobą bardzo istotne zmiany w zabudowie wsi. Główny trakt, wzdłuż którego ciągnęła się wieś przed komasacją, to droga w kierunkach północ – południe (na linii Przybysławice – Pisary), przecięta niezabudowaną drogą wiodącą z Jakubowic do Józefkowa (i dalej do Czyżowa). Jak zatem zmieniają się Prusy po scaleniu gruntów?

Wytyczony zostaje nowy szlak komunikacyjny, biegnący dziś przez tzw. „Kolonie”, równoległe do głównego traktu. Wzdłuż niego powstają nowe gospodarstwa. Wieś wydłuża się znacznie w kierunku Pisar przez nowe zabudowy, a więc na głównej osi. Zbudowane są nowe, choć nieliczne, domostwa wzdłuż drogi wiodącej do Jakubowic. Prusy powiększyły się o gospodarstwa powstające przy tzw. „Gościńcu”. Jest to znaczna odległość od głównej zabudowy, bo „Gościńca” to odcinek drogi odchodzącej od trasy Ożarów - Sandomierz w kierunku Pisar. Nadal pozostała pusta przestrzeń wzdłuż traktu wiodącego od

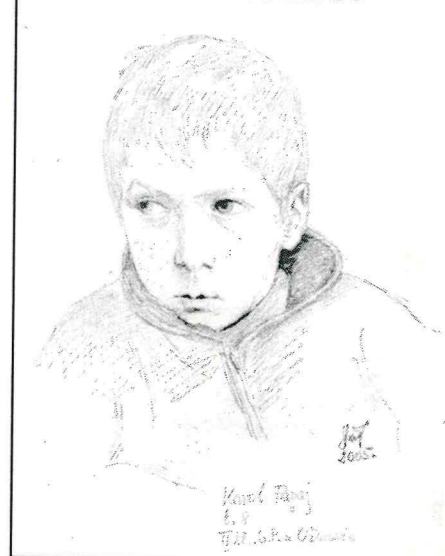
skrzyżowania w kierunku Józefkowa, gdyż grunty tam leżące były własnością Baczyńskiego.

Ciekawostką z tamtych czasów jest fakt, iż wtedy nasza wieś dzieliła się na dwie części: Prusy Górne i Dolne. Od skrzyżowania głównych dróg, w stronę Przybysławic, były Prusy Dolne, natomiast w kierunku Pisar to Prusy Górne.

Warto tu zaznaczyć, że były to nazwy oficjalne, urzędowe. Potocznie wśród mieszkańców funkcjonowały następujące określenia: Tamta Strona (czyli Dolne), zaś Wymysłów to Górne. Na pytanie: „gdzie idziesz?”, ówczesni mieszkańcy odpowiadali – na „Tamtą Stronę” lub na Wymysłów. Ciekawy jest fakt, i z czym ma związek, że równoległe stosowano nazwy urzędowe i potoczne. Tego dziś już nikt chyba nie jest w stanie wytłumaczyć. Do dnia dzisiejszego stosuje się nazwy „Gościńca” i „Kolonie” (zresztą częste w naszym dawnym słownictwie) i każdy niemal mieszkaniec Prus wie, o których miejscach jest mowa. „Tamtą Stroną” i Wymysłów pozostały w pamięci już tylko najstarszych mieszkańców. A może po latach, zachowując coś z tradycji naszej dawnej wsi, znów „ożyją” wśród mieszkańców, choćby traktować je z lekkim przymrużeniem oka? Ale o tym w następnym odcinku.

Helena Stec - Kwaśniewicz

ZNANI I NIEZNANI W RYSUNKACH TOMASZA STASZEWSKIEGO



WSPOMNIENIA OKUPACYJNE

W czasie ostatniej wojny ludność cywilna narażona była na represje przez okupanta - Niemcy. Do stosowanych środków przemocy zalicza się także tzw. „łapanki”. Początkowo okupanci robili je w większych miastach, a szczególnie w Warszawie. Żołnierze niemieccy okrążali część ulicy bądź też placu i wylapywali tam mężczyzn zdolnych do pracy, a także kobiety, choć rzadziej. Schwytych ludzi wywożono do pracy przymusowej w Niemczech. Zdarzało się, że spośród pojmanych wybierano zakładników, rozstrzeliwanych potem w ramach akcji terroru i odwetu. Otarłem się raz w Warszawie o łapankę. W 1943 roku, w lipcu, szedłem ulicę Marszałkowską, bacząc uważnie na boki. Zauważyłem nagle po drugiej stronie ulicy bieganie ludzi we wszystkie strony i żołnierzy niemieckich. Nie wiedząc, co to oznacza, zapytałem szybko nadchodzącego przechodnia:

- Panie, co się tam dzieje ?

- Łapanka !

- Uciekaj !

Z upływem czasu Niemcy przeprowadzali łapanki i w okrogach wiejskich, a szczególnie podczas wysiedleń.

Stanisław Stec ze wsi Prusy, zwany powszechnie Stachem, udał się pewnego dnia w sierpniu 1943 roku do sąsiedniej wsi. Miał tam do załatwienia ważną sprawę dla rodziny. Trafił na łapankę. Żołnierz niemiecki z karabinem dojrzał go i przywołał rozkazem:

- Kom, Kom !

Zdziwionego Stacha takim obrotem sprawy doprowadził do grupy kilkunastu mężczyzn, stojących w szeregu pod konwojem. No to ładnie załatwiłem - pomyślał pojmany ze smutkiem. Ciekawe, dokąd i po co nas zaprowadzą ? Na pierwsze z pytań - dokąd ? - nie musiał długo czekać. Żołnierze ze schwytanymi Polakami opuścili miejscowość i skierowali się w stronę wsi Prusy. Przechodząc przez wieś, minęli dom rodziny Stacha. On, prowadzony w eskorcie, spojrzął nań ze smutkiem. Duża grupa mężczyzn, eskortowana przez żołnierzy, zwróciła uwagę mieszkańców wsi. Wśród prowadzonych widziano Stacha.

Zbliżał się wieczór, gdy doszli do wsi Przybyławice. Żołnierze obejrżeli tam kilka stodoł i wytypowali jedne z nich na tymczasowy areszt zatrzymanych Polaków. Wezwali gospodarza stodoły i polecili mu przygotować ją na

umieszczenie w niej przyprowadzonych osób.

Wiedząc o tym, że noc spędzą w stodole, zatrzymani zaczęli przygotowywać sobie posłanie, rozkładając słomę na klepisku. Stach nie miał zamiaru iść za ich przykładem. Przemysłował, jak wydobyć się z pułapki. Stodola napelniona była zbożem aż po belki. Wdrapując się na górę - pomyślał. Jak już tam był, miał gotowy plan działania. Postanowił zrobić sobie głęboką jamę w zbożu i w niej się ukryć. Z taką myślą zaczął działać. W upatrzonym miejscu wyciągał kolejno snopki i robił w zbożu coraz to głębsze zagłębienie. Pamiętał, że nikt z chodzących po snopkach nie powinien zauważyć, że ktoś się tam ukrył. Z wyciągniętych snopków robił przykrycie jamy o wymaganej grubości. Stachowi wiadomo było, że Niemcy wiedzieli już o kryjówkach Polaków, trzymanych okresowo w stodolach. Wiedząc o tym, że mogą być ukryci pod snopkami, chodzili po nich i kluli bagnietami osadzonymi na karabinach. Tylko głębokie ukrycie się było zabezpieczeniem. Z taką wiedzą Stach wykonał odpowiednią jamę w zbożu, ukrył się w niej i postanowił spać czujnie. Wcześniej rano zbudził go hałas otwieranych wrót stodoły i głosy żołnierzy wzywających Polaków do wyjścia. Jak już ucichło, postanowił odczekać jeszcze godzinę i potem wyjść z kryjówki. Po tym czasie, ocenionym „na oko”, Stach wygramolił się z jamy i rozejrzał ukradkiem po stodole. Była otwarta i pusta. Odczekał jeszcze chwilę i szedł ze zboża na klepisko. Ostrożnie wychylił się ze stodoły i rozejrzał wokół. W tym momencie nadszedł gospodarz i ostrzegł go:

- Chowaj się szybko! Niemcy jeszcze nie odeszli.

Stach ukrył się ponownie. Po upływie około godziny przyszedł gospodarz i powiedział:

- Możesz już iść. Niemcy poszli z ludźmi.

Dla większego bezpieczeństwa Stach wrócił do domu, idąc przez pola.

W 1944 roku, w sierpniu, Niemcy wysiedlili kilka wiosek na ziemi sandomiersko - opatowskiej, ze strefy objętej działaniami wojennymi. Podczas tej akcji żołnierze schwytywali mężczyzn zdolnych do pracy i osadzili ich w prowizorycznym obozie pracy koło wsi Chrapanów. U schyłku dnia mężczyźni osadzeni w obozie prowadzeni byli w zwartej grupie pod eskortą żołnierzy w kierunku Sandomierza. Szli na przelaj. Przed linią frontu oddziałów niemieckich, pod osłoną nocy, kopali okopy. Rano wracali do obozu. Po zakończeniu działań wojennych nie wszyscy jednak wrócili.

W październiku 1944 roku wieś Tominy koło Ożarowa zaladowana była dodatkowo uciekinierami zza Wisły, mieszkańcami z wysiedlonych wsi i wojskami niemieckimi. W takiej sytuacji warunki bytowe ludności cywilnej były bardzo ciężkie. Działania wojenne między oddziałami niemieckimi i rosyjskimi toczyły się w odległości od kilku do kilkunastu kilometrów Pociski z frontu dolatywały aż do wsi. Jeden z nich trafił w stodołę. Jako pełna zboża, została szybko objęta płomieniami. Przechodząc obok płonącego obiektu, spostrzegłem nagle, że deski w ścianie stodoły rozchylają się tuż nad ziemią i przez otwory wydostają się z niej mężczyźni i szybko uykają. Było ich kilku. Zapewne schronili się w stodole przed łapanką, a mogli zginąć w pożarze.

Bolesław Stec

UWAGA! PROMOCJA OKNA PVC 5-cio KOMOROWE W CENIE OKIEN 3 - KOMOROWYCH OSZCZĘDZAJĄ CIEPŁO I TŁUMIĄ HAŁAS ULICZNY

ORWIBUD 27-576 Iwaniska, ul. Kolejowa 4

tel. 015 860 16 78, fax. 015 068 10 15, kom. 604 439 714, 608 098 396

Miniatury prozatorskie

Sztetl liczył sto kilkanaście tysięcy mieszkańców, a w tym osiemdziesiąt tysięcy z okładem Uczniów Mojżesza. Mieszkali też Cyganie, reszta to polscy chłopcy w organizacjach, które wspierały antysemitki gazety, i choć oficjalnie nie było wolno szerzyć treści antysemitki, to zgodnie odwracali głowy, gdy chłopcy rozrzucali ulotki albo tłum trutował mienie żydowskie.

Mali chłopcy nauczyli się nienawidzić gojów jak biblijnego Hamana. W Purim zawzięcie się prześcigali w tworzeniu szopek... Nikt nie chciał być Hamanem, za to imię Mordechaj powtarzali z dumą. Jedzono całe góry „uszu Hamana”, bo wierzyli, że zadają tym duszy Persa niesamowite katusze... Żydzi, choć byli większością, nigdy nie stawali okoniem na drwiny, przekleństwa, pogardę Polaków.

- Nu, my inne?., a co to Bóg nam rogi dał?- słychać było na ulicach miasta. Wiedzieli, że ich miasto było jak wyspa, oceanem oblane, wrogości. Kiedyś, w starożytnym Izraelu, Żyd, jeżeli winien był nieumyślnego zabójstwa, nie mógł wyjść poza rogatki Miasta Ucieczki, bo gdyby spotkał go mściciel krwi, legalnie mógł go zabić, a teraz nikt z Żydów nie ośmielił się wyjść z Miasta, pracować u chłopca na wsi, bo zabraniał mu tego rządowy zakaz. Ukazy nakładały na Żydów wysokie podatki, poddawały ścisłej kontroli...

Ojciec Jakuba, Dawid Zylbersztajn, był kowalem i przez całe swoje życie miał do czynienia z końmi. Dawid miał więcej fartu niż niejeden z jego współpracowników dzięki smykalce i umiejętności podejścia do klienta, często gojów, zgromadził niewielki mająteczek. Do ścian drewnianej szopy dobudował mурowaną kuźnię; wychodziło się wprost na fałę...Kilkaset metrów dalej stała bóżnica.

W Mieście panowało duże bezrobocie, ludzie oszczędzali na czym się dało, nie było ich stać na podkuwanie koni, więc Zylbersztajnowie zaczęli biedować jak inni. Ledwie wiązano koniec z końcem, o oszczędzaniu żaden mieszkaniec nawet nie wspominał. Niedługo przed przyjściem na świat Jakuba krewni Dawida zostali pobici przez pijanych chłopów, więc postanowił uciec do lepszego świata.

Niemal wszystkiego sobie odmawiał, sprawując tylko najniezbędniejsze rzeczy. Ale stosik rósł, i choć mozolnie to szło, to jednak przybywało. Strzegli swej tajemnicy jak Arki Przymierza ...

Po bar micwie Jakuba ojciec wszedł do komory, wyniósł skórzany trzosik, pokazał synowi ruble i powiedział o ich przeznaczeniu.

Dwa lata po narodzinach Jakuba na świat przyszła jego siostra, której po babce, aleha haszalom, dano imię Bejkele. W 1904 Dawid zgromadził tyle, że z biedą mógł opłacić rejs do Ameryki dla trzech osób. Ale wtedy Bejkele miała już siedemnaście lat, a Jakub prawie dwadzieścia, był już żonaty, a jego młodzianka żona w ciąży.

Czasy szły coraz gorsze i wcale nie spokojniejsze. W żydowskim szpitalu połączyła tabletki młoda pacjentka, której nie odratowano, a w pobliskiej wiosce jakiś pijanica w napadzie szału zatłukł niemowlę, co, jak powtarzano na Rynku, było sprawką rytualnego mordy Żydów.

- ... a wie szanowna pani, jak oni robią te ich mace? - ...

Nie było na co czekać. Dawid nakazał Jakubowi, aby zabrał pieniądze i wyjechał. Reszta przyjedzie za nimi. Jakub nie chciał. Był młody i silny, od ojca nauczył się rzemiosła - Mojżesz też uciekł z Egiptu, i to ...-Nie, tate ...

Postanowił zostać i będą odkładać gelt na podróż. Dawid, Cejtl i Bejkele pojedą do Ameryki i będą oszczędzać, aby pomóc Jakubowi, Szprince i małemu Joselowi wyjechać do Nowego Świata. Dawid się wyklócał, ale Jakub się uparł: - Tatego; chcesz, by Bejkele poślubiła jakiegoś biedaka i tu została? Ona jest piękna, a tam sziduch już wam coś narai!

I na tym stanęło.

Stanęło. Choć Dawid zgodził się niechętnie.

Z wielkim mążem przystąpiono do wypełniania dokumentów podróжных, po czym wysłano je przez poborcę, Szmula Cwi. Mieli wyjeżdżać piętnastego czerwca. Na długo przed nadejściem paszportów Cejtl, Bejkele i Szprince zabrały się za darcie pierza, choć to nie była pora darcia, bo na nią jest pora

pozną jesienią, i przeglądania ubogich ruchomości.

Na początku miesiąca Ijar, na początku maja, zabrakło węgla drzewnego do kuźni. Kupował je od chłopca w Czyżowie. Dawid sam je ściągał, piłował, obciosował i wypalał węgiel. Jakub niedługo już miał przejąć ojcowski geszeft, uznał więc, że to jemu pora jechać po drewno. Szprince nalegała, aby ją ze sobą wziął. Wyjechali więc następnego poranka.

Droga była przecudna. W powietrzu czuli wiosnę. Jakub pozwolił koniom iść noga za nogą, więc młodzi rozkoszowali się pięknem roztaczającego wokół krajobrazu. Na porębę przybyli wczesnym popołudniem. Chłopcy zgodzili się na to, aby Jakub przeszedł się po lesie i naznaczył drzewa, które mu się wydadzą najlepsze. Wybierał młode, bo takie będzie mu najlepiej przepiłować, gdy je zwiezie. Wieczorem zjedzą te koszery, co im spakowała Cejtl na drogę.

Małżonkowie przenocowali w małej chatce. Rano Jakub pracował z chłopami, ścinał drzewa, ociosował i ładował pnie na wóz. Dzień przechylał się już na drugą stronę, kiedy wreszcie skończyli robotę. Zapłacił chłopom „óśm” rubli, podziękował im i zaciął konie.

Słońce tonęło za wzgórzem. Uświadomili sobie, że stało się coś złego już przed wjazdem do Miasta. Spotkali jadącego w przeciwnym kierunku hodowcę świń, jechał na jarmark do Koprzywnicy. Jakub pozdrowił go, tamten nic nie odrzekł, tylko smagnął kobyłę i pocwałował na przelaj przez pola.

Podjechali bliżej - bliżej, zobaczyli...

Zobaczyli płomienie i wznoszące się ku niebu słupy dymu, na czerwono zabarwionego promieniami zachodzącego słońca. Jakub słyszał szloch i przerażony, przyspieszony oddech swojej żony.

Z ich obejścia zostało niewiele. Tylko murowana kuźnia. Dom spłonął prawie do szczytu. Na pogorzeliści stał brat Szprince, Amos. Zobaczył ich całych i zdrowych - i na jego twarzy pojawił się grymas, coś w rodzaju uśmiechu, potem oparł głowę na ramieniu Jakuba i zapłakał jak dziecko.

Jakub i Szprince, zostali z Amosem na czas szowy. W pogromie zginęło czterdziestu sześciu Żydów. Niemal ośmiuset odniosło rany. Dwa tysiące rodzin stanęło na drodze rozszalałego tłumu, który niczym wichura przeszedł przez miasto, gwałcąc, paląc i niszcząc, zanim zaczął podrzywać gardła i roztrzaskiwać czaszki. Zburzono jakieś pięćset domów, złupiono siedemset sklepów.

Siódmego dnia żałoby Jakub przemknął cichymi ulicami do zrujnowanej kuźni. Pod kowadłem, głęboko w kamiennej podłodze, była szczelina, gdzie przeniósł był przeniósł pieniądze z alkowy. Z drżącym sercem wyjął pieniądze i imigracyjne dokumenty.

Potem Amos z rodziną poumierali podczas strasznej epidemii grypy, która dziesiątkowała Europę w 1918 roku.

Polska należała jeszcze do Rosji, nie sprawdzali nawet paszportów. Bałem się, bo miałem paszport mojego ojca, aleh haszałam. Wiedziałem, że Szprince nie będą się czepiali, miała dokumenty Bejkele. Ale ja? - starszego już człowieka...

Nasze kłopoty zaczęły się na polsko-niemieckiej granicy. Przejść na drugą stronę może tylko określona liczba

ludzi dziennie, a na dziś nie było już limitu. W takich tarapatkach znalazło się jeszcze ze sto osób. Polacy, Rosjanie, Żydzi, Rumuni i inni. Pojawili się jacyś ludzie, proponując, że za opłatę wskażą nam bezpieczną drogę. Ja jednak im nie ufałem, no i przesiedzieliśmy niedaleko budki strażniczej. Zjedliśmy. Znów czekaliśmy cały dzień, bo nie mieliśmy dokąd pójść.

W końcu puścili... Zaraz za granicą wsiedliśmy do pociągu, którym dojechali do Mannheim, gdzie czekali w skwarze wiosennego słońca Dworzec kolejowy położony był nad Renem. Jakub rozmawiał z miejscowym barkarzem, któremu pomagał chyba syn ładować worki z węglem na barkę. Kiedy, pomagając sobie rękami, Jakub zapytał go, czy by ich nie przewiózł, odmówił. Żona coś ostro powiedziała i chciał - nie chciał, że złą miną, wskazał czarnym od węgla kciukiem, by weszli na pokład. Nie licząc małej kotłowni, wszystko było nieskazitelnie czyste. Humór barkarza uległ poprawie, kiedy Jakub dał mu pieniądze i zaczął pomagać w pracy. Było coraz cieplej, rzeka zielona i czysta...

Co dzień o brzasku Jakub stawał na mokrym od rosy pokładzie, w tańsie i

filakteriach, i obnażonym lewym ramieniu, modlił się półgłosem wśród plusku zielonej wody. Rankiem czwartego dnia podróży po odmówieniu Szma Israel, modlitwy porannej, zobaczył opartego o burtę, z szacunkiem, w zamiśleniu przyglądającego mu się barkarza.

Zniknęły zamczyska wznoszące się nad środkowym Renem. Pod koniec rejsu Jakub był wprawiony do prac pokładowych niczym chłopiec okrętowy. Dziesiątego dnia wykręcili na zachód i wpłynęli do Holandii. Po następnych dwu dniach dobili do nabrzeża portu w Rotterdamie. Barkarz i jego żona odprowadzili Jakuba i Szprince, tam gdzie cumowały transatlantyki. Holenderski celnik przyjrzał się podejrzliwie młodemu emigrantowi, bo według paszportu miał mieć lat pięćdziesiąt osiem. Z niepewną miną szybko jednak przybił pieczęć.

Pożegnanie.

- Potraktowali nas, jakby to byli Żydzi- powtarzał Jakub, ilekroć wspominał tę historię ...

Piotr „Zorba” Flak
(Katowice, grudzień 2004)

ŻELAZNYM SZLAKIEM PRZYCZYNEK DO HISTORII SANDOMIERSKIEJ KOLEI

Artykuł Henryki Gorajowej pt: „Gdzie te pociągi odjechały?”, zamieszczony w październikowo – listopadowym numerze „Ożarów” podsunął mi myśl przedstawienia czytelnikom historii powstania i pierwszych lat działalności linii kolejowej, dzięki której, opisana w tekście stacja Jakubowice stała się przystankiem na sandomierskim żelaznym szlaku.

Genezy powstania linii kolejowych w tej części Królestwa Polskiego można doszukiwać się w drugiej połowie XIX w. Już w 1867 r. przemysłowcy związani ze Staropolskim Okręgiem Przemysłowym zabiegali o rozpoczęcie budowy linii z Piotrkowa do Ostrowca. Pomysł ten realizowano później etapami i na nieco zmienionej trasie. Jako pierwszy powstał odcinek z Kuluszek do Bzina (obecnie Skarżysko – Kamienna). W 1884 r. wybudowano liczącą 47 km linię Bzina – Ostrowiec, której uroczyste otwarcie nastąpiło 25 stycznia 1885 r. Pod koniec wieku przedłużono ją do Bodzechowa, staraniem właścicieli tamtejszych zakładów przemysłowych. Stan ten utrzymał się do wybuchu I wojny światowej.

O ile o budowie linii kolejowej do

Ostrowca i Bodzechowa decydowały względy gospodarcze, o tyle o jej dalszym przedłużeniu w kierunku Sandomierza zadecydowały potrzeby wojskowe i strategiczne. Na jesieni 1914 r. po wielu krwawych bojach Rosjanie odzyskali chwilowo utracone tereny Sandomierszczyzny, a nawet wyparli wojska austro – węgierskie w głąb Galicji. Planowane przez dowództwo rosyjskie na wiosnę 1915 r. następne ofensywy wymagały podjęcia wielu przygotowań logistycznych. Ówczesny stan dróg kołowych w tej części Królestwa Polskiego był fatalny. Jedynym środkiem transportu, pozwalającym na szybkie przetrzymywanie znacznych ilości wojska i sprzętu na wybrany odcinek frontu, była kolej.

Głównym zamysłem Rosjan było

połączenie własnej sieci kolejowej z dobrze rozwiniętą austriacką strukturą na terenie Galicji. Najbliższa duża węzłowa stacja kolejowa na jej terenie znajdowała się w Rozwadowie. I właśnie w jego kierunku rozpoczęto przedłużanie linii kolejowej z Ostrowca – Bodzechowa przez Ćmielów, Jasice, Jakubowice do Sandomierza i dalej za Wisłę do Nadbrzezia.

Budowę linii kolejowej Ostrowiec – Nadbrzezie rozpoczęto na przełomie 1914 i 1915 r. Nie zachowało się zbyt wiele informacji na ten temat. Część z nich znajdujemy w pamiętnikach z epoki. August Łempicki, ostatni właściciel majątku Gierczyce, zapisał wiosną 1915 r. w swoim pamiętniku: „Jak daleko Rosjanie nie wąpili w zwycięstwo, może posłużyć fakt, że z ogromnym pośpie-

chem zaczęli budować przedłużenie linii kolejowej z Ostrowca przez Jasice, Dwikiwozy i dalej przez Wisłę do Nadbrzezia. Sprowadzili mnóstwo specjalistów od budowy kolei [...] skądś spod Uralu” [cytat za: Paweł Wichura, „Oświata w Gierczycach do 1965 roku”, Sandomierz 2004]. Książd Józef Rokoszny w swoim dzienniku „Diariusz Wielkiej Wojny 1914 – 1915”, zapisał: „13 marca – sobota [1915 r. – przyp. M.L.]. Przyjechał ks. Gajkowski i opowiadał, że budują kolej szerokotorową z Ostrowca do Sandomierza i stacja będzie w Dwikiwozach”. W innych miejscach znajdujemy następujące informacje: „8 kwietnia – czwartek. Przyjechał ks. Jaworski z Gór i opowiadał, że kolej robią przez Słupczę. Mają ją wykończyć w ostatnich dniach maja. Chłopi nie bardzo garną się do robót kolejowych, chociaż mogą dużo zarobić. Poprosili więc kaczaków z Rosji” [...]. „28 kwietnia – środa [...]. Byłem dziś w Winiarach i oglądałem nowo budującą się kolej żelazną od Ostrowca do Sandomierza (raczej do Kamienia). Dużo jeszcze brakuje. Mówią, że ma być skończona na 14 maja. Ale ja wątpię, bo pod Dwikiwozami, w dolinie, tor nawet jeszcze nie usypany. Pracują przy kolei nasi, ale dużo również pracuje kaczaków z Rosji. Inżynierem prowadzącym na odcinku sandomierskim jest Polak Malanowicz, ale z pracującymi mówi po rosyjsku. Pod Kamieńcem, gdzie linia kolei dochodzi do Wisły, wybudowano dwa mosty; jeden na palach, długi aż do wału galicyjskiego, drugi pontonowy. Oprócz tego murują korony pod most żelazny kolejowy. Roboty idzie ostro”.

Jak już wspominałem, sandomierska kolej była typową budową wojskową – strategiczną. Prace upraszczano do maksimum. Trasę starano się prowadzić tak, aby do wykonania było jak najmniej robót ziemnych. Podkłady układano bezpośrednio na gruncie. Część szyn pochodziła prawdopodobnie z rozbiórki innych, mniej w tym momencie ważnych, dwutorowych linii kolejowych. Mosty i przepusty budowano wycinając drewno z okolicznych lasów. Wykorzystywano także gotowe elementy (belki drewniane lub żelazne) pochodzące z rezerw strategicznych. Długość całej linii od Ostrowca do Nadbrzezia wyniosła 51 km. Pośpiech przy budowie musiał przędeż czy później odbić się niekorzystnie w czasie użytkowania szlaku. Ale nie było to już zmartwieniem Rosjan.

Rozpoczęta w pierwszej połowie maja 1915 r. ofensywa państw centralnych dotarła także wkrótce na ziemię

sandomierską. Książd Rokoszny zapisał: „12 maja – środa. [...] Podjeżdżam do kolei żelaznej Ostrowiec – Sandomierz. Dziś ją ukończyli po wielu nadzwyczajnych wysiłkach, dziś przyjechało kilka pociągów wojska, a teraz odjeżdża pociąg ostatni, zabiera robotników, taczki itp. Opośdał palą się w kilku miejscach stopy zapasowych podkładów”.

Tak więc nowo zbudowana kolej funkcjonowała zaledwie jeden dzień. Dalszy ruch pociągów ze względu na bliskość frontu był niemożliwy. Rosjanie zdołali jednak rozebrać niektóre fragmenty toru i ewakuować część szyn. Ostatnim akordem tej części istnienia linii było wysadzenie w powietrze gotowych filarów budowanego pod Sandomierzem mostu kolejowego. Uczyniono to 23 czerwca 1915 r., tuż przed opuszczeniem miasta przez ostatnie oddziały rosyjskie.

Zbudowana droga żelazna odegrała także swoją rolę w historii walk legionowych na tym terenie. Ułan 1. Szwadronu 1. Pułku Ułanów, Wacław Budzyński, tak pisał w swoim pamiętniku o wydarzeniach, które rozegrały się 24 czerwca 1915 r. wzdłuż toru kolejowego w okolicach Bidzin: „Przed nami żółty nasyp toru kolejowego, który przecina drogę [...]. Do nasypu – ale wciąż jeszcze rowem – dochodzi patrol IV – go plutonu i komunikuje: „Moskale!” Widoczna jak na dłoni, okopana starannie tyralierka w sile mniej więcej kompanii [...]. Nasyp kolejowy odegrał rolę przedpiersia okopu. Kule rosyjskie pryskały o szyny [...]. Dudzieniec [ppor. Stefan Krak – „Dudzieniec”, dowódca IV plutonu – przyp. M.L.] nie wytrzymał. Dobył szabli i pierwszy skoczył na tor z okrzykiem: Naprzód! [...]. Tam i tam podnosili się ulani na nasyp za Dudzieńcem. Jeszcze parę sekund – poczem zerwali się wszyscy...”. Ten brawurowy atak na tor sandomierskiej kolei zmusił Rosjan do wycofania się na pozycje pod Ożarowem.

Z chwilą zajęcia Sandomierszczyzny przez wojska austro – węgierskie rozpoczęto prace nad uruchomieniem linii kolejowej Ostrowiec – Sandomierz. Wymagała ona odbudowy i częściowej przebudowy. Przede wszystkim należało zmienić rozstaw szyn kolejowych, gdyż linię wybudowano (w stosowanym zresztą do dziś w Rosji) w systemie szerokotorowym. Odległość między szynami wynosiła 1520 mm, podczas gdy w pozostałych krajach europejskich stosowano szerokość 1435 mm. Na marginesie można wspomnieć, iż jedyną „normalnotorową” linią kolejową na

obszarze całego Królestwa Polskiego była wybudowana około połowy XIX w. kolej „warszawsko – wiedeńska”, łącząca Warszawę z granicą rosyjsko – austriacką.

25 lipca 1915 r. w Kielcach zaczęło funkcjonować kierownictwo austro – węgierskiego ruchu kolejowego dla zajętych terenów Królestwa Polskiego. Następnie zarząd kolei sprawowała Komenda Kolei Wojskowych Północnych, działająca w Radomiu. Podlegała ona bezpośrednio Ministerstwu Wojny w Wiedniu, a tylko w sprawach lokalnych (zakwaterowanie, wyżywienie personelu, ochrona urządzeń) była zależna od Generalnego Gubernatorstwa w Lublinie. Strzeżenie szlaków kolejowych powierzono oddziałom ochrony kolei formowanych z żołnierzy Landsturmu.

Początkowo funkcjonowanie kolei sandomierskiej było mocno ograniczone. Przeznaczona ona była w zasadzie głównie do celów militarnych. Przemieszczać się mogły tylko pasażerskie pociągi wojskowe, choć podróżowali nimi, na podstawie specjalnych zezwoleń, także cywile.

Nie znamy dokładnej daty ponownego uruchomienia linii, ale nie ulega wątpliwości, iż wszystkie prace naprawcze wymagały czasu. Z dostępnych informacji wynika, że jazda koleją w lipcu 1915 r. nie była możliwa. Nowo sformowany 4 Pułk Piechoty Legionów w połowie lipca dojechał tylko do stacji Ostrowiec, by dalszą drogę, w ślad za I Brygadą walczącą już wtedy na Lubelszczyźnie, przebyć pieszo.

Tory do Sandomierza oraz most na Wisłę naprawiono na pewno do końca 1915 r. Zachowany rozkład jazdy z lutego 1916 r. informuje nas, że w tym czasie na odcinku Ostrowiec – Nadbrzezie kursowały dziennie trzy pary pociągów podlegających C. i K. Kolejom wojskowym. Cała podróż trwała 2 h 35 min. Z Ostrowca do Jakubowic jechało się 1h 10 min. I tyle samo z Sandomierza do Jakubowic. Oprócz tych pociągów linią kursowały oczywiście także typowe składy z wojskiem i materiałami wojennymi, jadące na front.

W późniejszym czasie zasady funkcjonowania kolei uległy pewnym zmianom. Przede wszystkim pociągi pasażerskie udostępniono bez ograniczeń podróżnym cywilnym. Pod koniec 1916 r. na trasie sandomierskiej kursowała jedna para pociągów. Wyjeżdżając z Ostrowca o godz. 8.01, podróżny dojeżdżał do Nadbrzezia o godz. 10.07, mijając po drodze o 9.02 Jakubowice.

Pociąg w odwrotnym kierunku rozpoczynał swój bieg o 5.21 w Nadbrzeziu, by o 7.37 dojechać do Ostrowca. W istniejącym wtedy rozkładzie jazdy przewidziano uruchomienie w późniejszym czasie dwóch kolejnych par pociągów. Jak łatwo zauważyć, w porównaniu z poprzednim rozkładem jazdy zwiększona została szybkość jazdy pociągów.

Sandomierska linia kolejowa wybudowana została jako jednotorowa i takąż pozostała aż do lat 70. XX w., kiedy to powstał drugi tor. Kolei towarzyszyć musiała odpowiednia i niezbędna infrastruktura techniczna. Potrzebne były m. in. tzw. mijanki, czyli odcinki bocznych torów, gdzie jadące z naprzeciwka pociągi mogły się bezkolizyjnie wymijać. Jedną z nich wybudowano w Jakubowicach. Niektóre stacje posiadały ponadto dodatkowe bocznicę do rozładunku i załadunku towarów. Były nimi głównie płody rolne, które austro – węgierscy okupanci pozyskiwali od właścicieli majątków i ludności wiejskiej w ramach obowiązkowych dostaw wojennych. W latach 1916 – 1918 na omawianej linii kolejowej znajdowały się następujące stacje: Ostrowiec, Bodzechów, Ćmielów, Jasice, Jakubowice, Góry, Dwikozy i Nadbrzezie. Wiemy, że np. stacja w Jasicach otwarta została „dla pełnego ruchu osobowego, towarowego i pakunkowego” dnia 1 września 1916 r., o czym powiatowe władze austro – węgierskie poinformowały ludność specjalnym urzędowym obwieszczeniem.

W czasie całego trwania okupacji Austriacy przywiązywali dużą wagę do właściwego funkcjonowania kolei. Na terenie obwodu (powiatu) opatowskiego znajdowały się dwie Wojskowe Komendy Stacyjne, czuwające nad całością ruchu kolejowego w czasie wojny. W Ostrowcu jej dowódcą był początkowo nadporucznik Józef Möckl, a w 1918 r. kapitan Zygmunt Parfanowicz. Jednostka ta podlegała bezpośrednio działającej w Opatowie Wojskowej Komendzie Stacyjnej, pozostającej pod dowództwem kapitana Juliusza Wimmera. Obydwie Komendy podlegały C. i K. Komendantowi obwodu (powiatu) opatowskiego.

Dużą uwagę zwracano na zapewnienie bezpieczeństwa na żelaznym szlaku. Władze wyznaczały wysokie nagrody pieniężne (do 200 koron) dla wszystkich, którym uda się przeszkodzić w zamachu na urządzenia kolejowe. Równocześnie walczono z przypadkami kradzieży mienia kolei, np. drewna, a

nawet szyn. W takich sytuacjach Austriacy posuwali się do odpowiedzialności zbiorowej, tzn. karania nie tylko bezpośrednich sprawców, ale i całych gmin. Proceder przestępstw popełnianych na kolei przybierał widocznie na

sile, skoro w numerze z 15 sierpnia 1916 r., ukazującego się w Opatowie „Dziennika Urzędowego C. i K. Komendy Obwodowej”, oficjalnego organu władz okupacyjnych, ukazało się następujące rozporządzenie:

Przestępstwa kolejowe na linii wojskowej kolei północnej
Z uwagi na zaszłe w ostatnim czasie wypadki swawolnego, częścią zaś złośliwego uszkodzenia toru kolejowego podaje się ludności następujące zarządzenia do jak najszerzej wiadomości i dokładnego przestrzegania.

Zakazuje się surowo chodzenia po torze kolejowym i wszystkich obiektach do kolei należących, o ile dla publiczności wstęp nie jest dozwolony. Również zakazuje się surowo na torze kolejowym lub w bezpośredniej bliskości obiektów kolejowych, na które dostęp jest zakazany składać przedmioty rozmaitego rodzaju.

Sprzeciwiający się będą surowo karani, a oprócz tego osobiście narażają się na niebezpieczeństwo, gdyż kolejowe organa bezpieczeństwa są obowiązane i mogą w danym razie robić użytek z broni.

W porze nocnej winni bezwarunkowo niepowołani omijać bliskość toru kolejowego.

Gminy są odpowiedzialne za bezpieczeństwo toru kolejowego przechodzącego przez terytorium gminy.

Wójtowie i Sołtysi winni we własnym zakresie działania dołożyć wszelkich starań, by nie dopuścić do uszkodzenia kolei. W tym celu winni odpowiednio ludność pouczyć i pilnować, by wymienione nakazy nie były przekraczane.

Podjęte elementa, zwłaszcza obcych, należy mieć ciągle na oku.

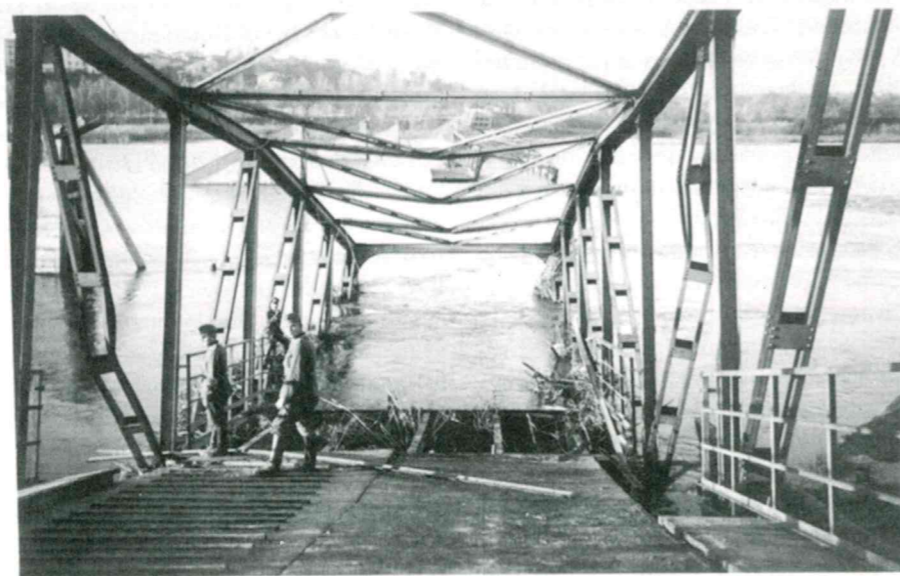
Każdy jest obowiązany wedle możliwości przeszkodzić zamachom na urządzenia kolejowe, a o przekroczeniu wymienionych przepisów, jak i w ogóle o wszystkich spostrzeżeniach, które ze względu na bezpieczeństwo kolei jakiegokolwiek mieć mogą znaczenie winien każdy bezzwłocznie donieść najbliższemu kolejowemu organowi bezpieczeństwa. Zaniedbanie tego obowiązku będzie surowo karane.

Za popełnione przestępstwo kolejowe, któremu przy zwykłej uwadze organów gminnych i ludności można było zapobiec, będą oprócz winnych karane także organa gminne wskutek zaniedbania swego obowiązku, jak również prywatne osoby, które mogły przeszkodzić wykonaniu czynu karygodnego, a tego nie uczyniły, względnie nie doniosły o tem.

W wypadkach, w których udowodnionem zostanie, że szersze koła ludności o czynie zbrodniczym i przygotowaniach do tego wiedziały, będą całe gminy jako współwinne ukarane.

Wraz z odzyskaniem niepodległości w listopadzie 1918 r. linia kolejowa Ostrowiec – Sandomierz znalazła się w rękach polskich kolejarzy.

Marek Lis



Most kolejowy na Wiśle pod Sandomierzem zniszczony w 1939 roku.
Fot. ze zbiorów Jana Puka

ZAMKNAĆ TECZKI NA 100 LAT

Czy można zafundować na ziemskim, dokładniej pisząc – polskim, padole piekło? Osobiście nie wierzę w żadne piekło po śmierci człowieka, kotły wiecznie podgrzewane przez diabłów. Co najwyżej piekłem pozaziemskim może być nicość. Natomiast wierzę w piekło na ziemi, które człowiek zgotować może człowiekowi. Taką małą próbkę polskiego piekielka zgotował nam dziennikarz z „Rzeczpospolitej”, gazety chcący uchodzić za poważną.

Bezwidnie autorem tego, co się stało, jest również sam Instytut Pamięci Narodowej, który udowodnił, że stanowi niepewną instytucję, której nie wolno powierzać tak poważnych rzeczy, jakimi okazują się być słynne teczki. Bronisław Wildstein wykradł z IPN listę teczek i ujawnił ją. Mówi, że dlatego tak zrobił, gdyż leży mu na sercu dobro Polski, że lustracja była zbyt wolno robiona. Z punktu widzenia dziennikarskiego można mu nawet przypisać sukces. Stał się sławny, zdobył „atrakcyjny” materiał. Co prawda został zwolniony z pracy, ale zapewne krzywda zawodowa mu się nie stanie. Trudno nawet mieć do niego pretensje, że w buciorach wtargnął w tak delikatną materię, jaką okazały się wspomniane listy tajnych agentów, współpracowników i kandydatów na współpracowników, ale ludzi stojących po drugiej stronie barykady. Dziś bowiem morale zawodu dziennikarskiego upadło bardzo nisko. Media żywią się przede wszystkim złem, dramatem, tragedią, nieszczęściem. Dziennikarze, wysyłani przez swoich szefów - redaktorów naczelnych, gonią za sensacją i czasami są nawet wcześniej przy wypadku, pożarze, w miejscu nieszczęścia, niż policja i straż pożarna. Wystarczy spojrzeć na okładki dwóch codziennych gazet, które wystawiane są w ramach przy każdym kiosku. Ale czas wracać do Wildsteina.

Okazuje się być ten przedstawiciel, zwolennik dzięki lustracji, również kiepskim fachowcem w swojej dziedzinie. A to dlatego, że redaktor publikujący jakiegokolwiek tekst powinien przewidywać, jakie może on wywołać reperkusje. Żaden materiał prasowy, radiowy czy telewizyjny nie jest wart opublikowania, jeżeli przynosi zło, nieszczęście czy powoduje krzywdę. Nawet jeśli opisuje czyjąś krzywdę.

Listy Wildsteina puszczonej w ruch nie już nie powstrzyma. A w kształcie, w jakim została opublikowana, wywołuje wiele niedobrego. Najgorsze jest to, że znowu niewinni będą musieli udowodniać, iż są niewinni. Natomiast ci, którzy powinni mieć jakieś wyrzuty, gdyż byli tajnymi współpracownikami Urzędu Bezpieczeństwa, Służby Bezpieczeństwa,

wcale nie muszą doznawać dyskomfortu psychicznego, gdyż i dziś uważają, że walczyli z opozycją, która zagrażała bytowi socjalistycznej Polski. Wszak dobre wyniki lewicy w minionych wyborach czy lewicowy prezydent aż nadto dowodzą, że zwolenników tamtej Polski (sprzed 1989r) wciąż jest dużo.

Trzeba też młodszym czytelnikom przypomnieć, że faktycznie z poprzednim systemem bezpieczeństwa współpracowała duża gromada funkcyjnych pracowników komitetów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, od gminnego do centralnego szczebla. Oni nie musieli być tajnymi współpracownikami Służby Bezpieczeństwa. Oni byli jawnymi współpracownikami poprzedniego reżimu.

Nie chcę się stroić w piórka opozycjonisty, ale przywołam tu epizod ze swojej biografii. Otóż podczas wydarzeń marcowych 1968r. (okres buntów studenckich na polskich uczelniach) wyjechałem z kolegą z Buska-Zdroju (gdzie byliśmy studentami Studium Nauczycielskiego) do Krakowa, żeby zasięgnąć języka o rozruchach w dużym ośrodku akademickim. Kilka dni po powrocie, dzięki służalczości kolegów-aktywistów ze Związku Młodzieży Socjalistycznej, znalazłem się na dywaniku oficera SB w miejscowej Komendzie Powiatowej Milicji Obywatelskiej. Ci, którzy na nas donieśli, wcale się z tym nie kryli. Nawet nasz udział w krakowskich rozruchach był omawiany na zebraniu uczelnianej organizacji.

Poprzedni system przetrwał 45 lat również dlatego, że większość społeczeństwa polskiego przez dłuższy czas utożsamiała się z nim i wierzyła, że socjalizm jest dobrym ustrojem. Wszyscy albo prawie wszyscy (oczywiście dorośli) pracowaliśmy w socjalistycznych zakładach, instytucjach, placówkach państwowych (innych przecież nie było). Część naszych zarobków oddawaliśmy państwu. Utrzymywaliśmy więc również donosiciele i współpracowników SB. Niemal wszyscy szefowie państwowych i spółdzielczych zakładów pracy musieli być partyjni. A to znaczyło lojalność wobec władzy. Kierownik firmy był więc odpowiedzialny za



frekwencję na wyborach czy w pochodzie pierwszomajowym. Porzucenie przez pracownika w krzakach po pochodzie szturmówki do SB donosił już jednak usłużny tajny współpracownik, który teraz będzie musiał się wstydić.

Mieszkaniec Sobótki wyznał mi, że nie wszystko, co się łączy z donosicielstwem, było złe. Każdy milicjant miał wtedy kilku oficjalnych informatorów na wsi, którzy nawet dostawali finansowe gratyfikacje, a więc musiały być listy płac. Tenże policjant miał też z pięciu nieoficjalnych informatorów, niemal kolegów, którzy za pół litra wódki przekazywali wiadomości o aktualnych kradzieżach, bójkach, nielegalnym uboju. Należy również wspomnieć o formacjach Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Ukuto wtedy ironiczne powiedzenie: „ORMO zawsze czuwa”.

Gwoli prawdzie trzeba też napisać, iż wiele starszych ludzi z Ożarowa wspomina, że może i dawniej żyliśmy w reżimowej Polsce, ale spokój i poczucie bezpieczeństwa było wtedy większe. Nikt się nie bał wyjść wieczorem na ulicę, w klatkach blokowych było cicho... Czy zatem stróżowie porządku z tamtego czasu to ludzie, których należy karać? Jeżeli ktoś uczciwie pracował w PRL-u, to dziś jest winny, gdyż służył reżimowi. Natomiast ten, kto był obibokiem, złodziejem (kradł na przykład państwowy cement z cementowni), rzucił szturmówki pierwszomajowe do gnojowicy, zasługuje dziś na miano bohatera, kombatanta walki z komuną? A jak określić dzisiejszych prominentów o „służnym” rodowodzie, którzy w białych rękawiczkach, bez skrupułów, oszukują, kradną, budują nieuczciwością potężne fortuny?

Teczki, listy donosicieli, pokrzywdzonych i ubeków to kolejny temat zastępczy, który niewiele poprawi naszą sytuację. A może lepiej zlikwidować IPN, teczki złożyć w bunkrze i zamknąć go żelbetonową płytą, którą otworzą badacze za 100 lat, kiedy opadną emocje i na problem będzie można spojrzeć chłodnym okiem?...

Józef Lis

Zespół Szkół w Ożarowie



Proponuje absolwentom gimnazjum
w roku szkolnym 2005/2006
kształcenie w następujących typach szkół:

Liceum Ogólnokształcące – 3 - letnie
Liceum Profilowane – 3 - letnie

Profil ekonomiczno-administracyjny
Profil zarządzanie informacją

Technikum Informatyczne – nowy kierunek !!!
Technikum Elektroniczne

kształcące w specjalnościach:
Systemy i sieci komputerowe
Urządzenia audiowizualne
Automatyka przemysłowa

Zasadnicza Szkoła Zawodowa
kształci w zawodach:

ślusarz
elektromechanik

oraz innych zawodach wybranych przez uczniów w
klasie wielozawodowej jako pracownik młodocia-
ny.

Ponadto oferujemy kształcenie dla absolwentów
zasadniczych szkół zawodowych w

Uzupełniającym Liceum Ogólnokształcącym
– 2 - letnim.

Zapraszamy Gimnazjalistów i ich Rodziców
na Dzień Otwarty naszej szkoły
12 marca 2005 roku - od 8³⁰ - 13⁰⁰.

Informacje dodatkowe

Ze świadectwa ukończenia szkoły gimnazjalnej
punktowane będą oceny z następujących przed-
miotów:

- język polski
- język obcy
- matematyka
- informatyka

Termin składania podań o przyjęcie do szkół: od 9
maja do 21 czerwca 2005.

Termin doręczania przez absolwentów gimnazjów
świadectw ukończenia szkoły i zaświadczeń o
szczegółowych wynikach egzaminu gimnazjalne-
go-do 27 czerwca 2005.

Termin ogłoszenia listy uczniów przyjętych do dane-
go typu szkoły 30 czerwca 2005.

Wszelkie informacje dotyczące rekrutacji dostępne
są w sekretariacie szkoły i na szkolnej stronie in-
ternetowej- www.ozarow.prv.pl

ZESPÓŁ SZKÓŁ W OŻAROWIE

os. Wzgórze 56

27-530 Ożarów

Tel/Fax (015)8611801

e-mail: ozarow@poczta.onet.pl

OZARÓW

PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE SAMORZĄDU GMINY OŻARÓW

Wydawca: PH.U. SZOSTAKDRUK. Adres redakcji: Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ożarowie, ul. Stodolna 3. e-mail: mgokozarow@wp.pl

Redaktora naczelny: Józef Myjak PAIR Myjakpress. Redakcja: instruktorzy M-GOK, Marcin Kwieciński, Marian Sus, Wiesława Mroczek, Janusz Czuba; stale współpracują: Wiesław Chmielewski, Marek Lis, Tomasz Staszewski, Grzegorz Orawiec. W sprawie prenumeraty oraz zakupu archiwalnych egzemplarzy pisma prosimy o kontakt z Beatą Kobiąlką. Tel. redakcji: 861 10 85. Adresatka i korekta: Janusz Czuba. Foto: M. Sus, J. Myjak DTP i druk: SZOSTAKDRUK. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, korekty gramatycznej i ortograficznej oraz ograniczonej ingerencji w stylistykę poszczególnych wypowiedzi.

ZATRZYMANE NA KLISZY (OŻARÓW - LATA MIĘDZYWOJENNE)

ZE ZBIORÓW MARII WESOŁOWSKIEJ, CÓRKI WŁADYSŁAWA KURKA - KIEROWNIKA SZKOŁY W OŻAROWIE



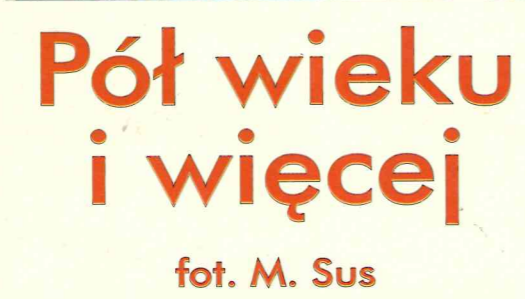
OŻARÓW



Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

Nr 3/71 marzec 2005 Rok VII ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.

© PAIR MYJAKPRESS



Pół wieku i więcej

fot. M. Sus

Zima z rozpaczą spogląda za siebie.
Gubi płatki śniegu. Ostatnie, żalodne.
Na gałązkach stanęły baze – kotki małe,
Jeden za drugim, w kolejce po wiosnę.
Z małych czapeczek wychyliły główki
Małe, kosmate. Nie mają grzebyka.
Wiatr czesze im włoski, a one radośnie
Śmieją się z zimy, co umyka.

Zofia Sobótka

Wisła - widok na brzeg ożarowski. Fot. J. Myjak

Przyszła upragniona wiosna. Spóźniona, powoli ogarnęła Ożarowszczyznę. Przyniosła też smutną wiadomość z Watykanu. Zmarł Jan Paweł II. Trudno cokolwiek nowego napisać, żeby nie popaść w banał. Powiedziano i napisano masę słów, pokazano miliony zdjęć i filmów o tym największym z Polaków. Teraz przyjdzie nam wypełniać testament zmarłego Papieża. A to jest znacznie trudniejsze niż składanie słownych deklaracji...

Dla wiernych z gminy Ożarów sandomierskie spotkanie z Ojcem Świętym było największym wydarzeniem religijnym w ich życiu. Wciąż o nim pamiętają. Dlatego też fotoreportażem przypominamy nastrój tamtego upalnego, czerwcowego dnia, kiedy w półmilionowym tłumie słuchaliśmy słów Jana Pawła II.

Redakcja